

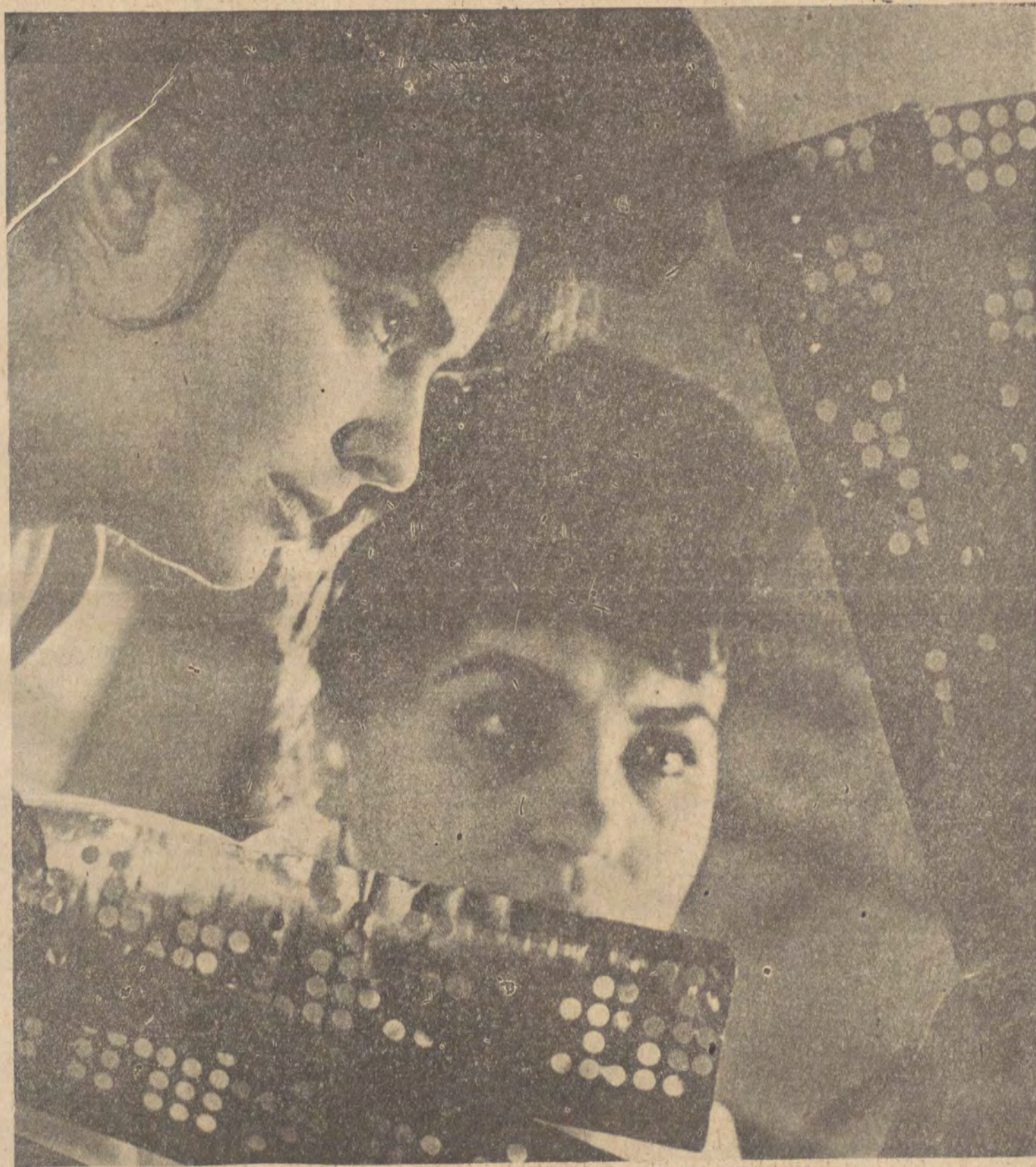
Dziś w numerze: ● Polichno - 1968 ● Pięć razy Łódź ● Pochwała Ernesta Hemingwaya ● Języki obce na manewrach ● Poezji dzień dzisiejszy ● Salony śmierci ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

odgłosy



42 (572)
20. X. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



UNIwersyTET już DOJRZAŁY

Rozmawiamy
z JM Rektorem UŁ
prof. dr Andrzejem Nadolskim

— Panie Rektorze, w dziejach młodego Uniwersytetu Łódzkiego to chyba wydarzenie bez precedensu, że rektorem uczelni został jej absolwent, bo przecież jest Pan absolwentem UŁ?

— Tak, i jest to najlepszy dowód, że Uniwersytet Łódzki przestał być młody i jeśli się nie starzeje, to w każdym razie osiągnął wiek dojrzały. Istnieje już dwudziesty czwarty rok, a nam wciąż się wydaje, że jesteśmy niedaleko od linii startu. Tymczasem wyrosliśmy i chyba mocno wrosliśmy w łódzki grunt. Coraz więcej naszych absolwentów zasila łódzkie zakłady pracy, instytucje, placówki naukowe. Uczelnia nasza opuściła 15 tysięcy osób z dyplomem ukończenia studiów. To już sporo.

Niewiele mniej liczy nasza uniwersytecka rodzina w chwili obecnej. Bez mała 11 tysięcy studentów, w tym około 3 tysięcy na studiach stacjonarnych (w stosunku do ubiegłego roku liczba studiujących wzrosła o prawie 500 osób, do tego około 2 tysięcy pracowników uniwersyteckich. Jesteśmy największą liczebnie wyższą uczelnią w Łodzi, jedną z największych w kraju. Nasza młodzież pobiera naukę na 6 wydziałach i dwóch studiach międzywydziałowych, obejmujących łącznie 28 kierunków. Prowadzimy cztery ośrodki konsultacyjne poza Łodzią: w Kaliszu, Toruniu, Końskich i Tomaszowie Maz.

— Jaki był skład socjalny tegorocznych kandydatów na studia?

— Przyjeśliśmy ogółem 2.800 kandydatów, w tym na studia stacjonarne ponad 1.500. Na ten typ studiów zgłosiło się prawie 3.900 kandydatów. To między innymi zdecydowało, że egzaminy były w tym roku trudne. Zresztą i przygotowanie znacznej części zdających było nie najlepsze. Wśród przyjętych wzrósł w tym roku do 57 procent młodzieży robotniczo-chłopskiej, na naszym Uniwersytecie zresztą zawsze wysoki. Jest to jednak w większości młodzież wielkomiejska, głównie łódzka. Procent kandydatów ze wsi i małych miasteczek województwa jest w dalszym ciągu zbyt niski, co coarsze wykazujące stale tendencje spadkowe. Jest to problem, któremu trzeba będzie poświęcić wiele uwagi i troski.

— Nowe władze uczelni przystępują w tym roku do zajęć w przededniu nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, w warunkach wymagających szczególnej uwagi, troski o silniejsze niż dotychczas

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

Ares w białym kitlu

1.

Nie ufajmy nadto architekturze. Bryły bloków, bliźniaczych i surowych, przypomi-

nają w tym samym stopniu koszary, co standardowe, mieszkaniowe osiedle. Naprawdę zaś za parkanem z drucianej siatki rozłożyło się miasteczko akademickie. Tyle że żołnierskie. Staje się więc zrozumiałe dlaczego prawie wszyscy, których tu spotykamy, ubrani są w mundury wojskowe. I bramy strzeże wartownik z peemem przewieszonym przez plecy.

— Do sztabu?
Powtarza pytanie i zaraz wskazuje budynek administracyjny; jedyną budowlę, gdzie architekt mógł pokazać swój pazur projektując efektowne schody. Sztab to właściwie tyle samo, co rektorat. Rektor Wojskowej Akademii Medycznej w terminologii wojskowej nazywa się po prostu komendantem. Wykładowcy, w przeważającej większości, mają obok tytułów naukowych wojskowe stopnie. To także nie przypadek. Przecież zadaniem Akademii jest wychowanie oficerów-lekarzy.

W te sprawy wprowadza mnie prorektor uczelni, płk doc. dr Marek Kański. Pytam o tradycje szkoły.

— No cóż — uśmiecha się mój rozmówca — niedawno spełniło się nam 10 lat. Taka

skromna, choć okrągła liczba. Ale tradycje trzeba pojmnąć szerzej. Zresztą postaram się coś panu pokazać.

I rzeczywiście: zwiędziłem potem zorganizowaną w Akademii stałą wystawę obrazującą dorobek polskiej medycyny wojskowej w przekroju historycznym. Szczególnie spodobał mi się mundur sztaba-lekarza z okresu powstania listopadowego. Wśród książek były prawdziwie białe kruki: „Nauki Cyrulickiej III Część”, wydana w Kaliszu w roku 1793, „Przepisy Lekarstw dla Szpitalów Wojska Polskiego — Dzieło tłumaczone z języka francuskiego”, które wydrukowano w okresie wojen napoleońskich. Wolno przechodził obok oszklonych gablot, gdzie zgromadzono pamiątki z powstań narodowych aż po powstanie ostatnie, warszawskie, pamiątki frontowe, zdjęcia, ordery.

Gospodarz milczał. Tylko jego oczy żywo wpatrywały się we mnie, jakby chciały powiedzieć: pytał pan o tradycję? Proszę — oto jest nasza tradycja.

2.

W budynku klubowym na piętrze, za kotarą, która oddziela obszerną wnękę od ko-

rytarza, zsunięto razem kilka stołów i zaczęliśmy „obradę”. Piszę w cudzysłowie, gdyż w rzeczywistości była to luźna, przyjacielska rozmowa. Tę formę zbierania materiału do reportażu zaproponowali gospodarze i co tu ukrywać, okazała się bardzo dobra. Z początku zresztą podchorążowie czuli się nieco nieśmieleni, podobnie zresztą jak i ja, jedyny cywil wśród tylu wojskowych. Piliśmy kawę i oni opowiadali. Bo chciałem przede wszystkim zorientować się jak wygląda zwykły, robotczy dzień słuchacza Akademii.

Tak, pobudka jest o szóstej. Jak w każdej jednostce wojskowej, w każdym pułku. A potem „rozgrzewka”, która obowiązuje wszystkie roczniki. Potem najmłodszy czworokami maszerują na zajęcia do sal wykładowych. Bo to jest jednak wojsko i nieustannie trzeba pamiętać o dyscyplinie. Albo tak samo karnie ładują się do autobusów, jeśli wykłady odbywają się gdzieś daleko na mieście. Bardziej zaawansowani w studiach sami rozwiązują problem transportu. Mogą

Dalszy ciąg na str. 3



W depeszach agencyjnych — obok Pragi, która ze zrozumiałych względów nie schodzi ze szpalt gazet i dzienników radiowych — najczęściej w ostatnich dniach powtarzał się Nowy Jork. Nie tylko z powodu trwającej tam XXIII sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, ale także spotkań, które sesja ta umożliwiła. Najpierw jednak o samej sesji.

Wydaje się, że zakończony został pewien etap debaty politycznej, który związany był z pobylem w Nowym Jorku ministrów Gromyki i Ruska. Swoimi wystąpieniami wytyczyli oni kierunek delegacjom ZSRR i USA, co z pewnością nie pozostało bez zasadniczego wpływu na przebieg sesji. Z przemówień tych wynika jednoznacznie, że o Re ZSRR zainteresowany jest konkretnym dyskusyjnym pakietem propozycji, jakie w imieniu radzieckiego rządu wysunął min. Gromyko — o tyle USA podjęły orę na zwłokę, co z pewnością m. in. spowodowane jest przerypaniem kampanii wyborczej przez obecną administrację.

W tej sytuacji trudno nawet o prognozy — czy któreś z zasadniczych zagadnień politycznych zostanie rozwiązane przez obecną sesję. Nadzieje komentatorów wiążą się z Bliskim Wschodem, dekolonizacją, rozbrojeniem i współpracą gospodarczą. Nawet najwięksi optymiści nie wymieniają natomiast na tej liście Wietnamu.

Ale, jak się rzekło, w ostatnich dniach, ważny był i nurt drugi — dwustronnych lub wielostronnych rozmów. Zarejestrujemy więc najważniejsze: Gromyko — Rusk, Gromyko — Brandt oraz ministrów spraw zagranicznych państw — członków NATO. W tych ostatnich uczestniczyło 12 ministrów, a w tej liczbie i Brandt.

Początkowo spotkanie miało mieć charakter oficjalny, ale jego inicjatorzy: USA i NRF natopkali sprzeciw niektórych państw członkowskich. Zadowolono się więc nieoficjalnymi rozmowami, a zatem — niewiązującymi. Wiadomości, jakie przedostały się z sali tego nieprawomocnego do podejmowania decyzji spotkania, wskazują, że przedmiotem wymiany opinii była sytuacja w Europie. Prym w dyskusji wiodł podobno Brandt, domagający się wzmocnienia pakietu. Oczywiście jako argumentem posłużył się wydarzeniami czechosłowackimi, które jakoby zagroziły Niemcom zachodnim. Tak więc raz jeszcze zademonstrował on zimnowojenne stanowisko Bonn.

Spotkanie było pewnego rodzaju preludium do listopadowej narady zachodnich ministrów w Brukseli, gdzie NRF z pewnością żądać będzie konkretnych przedsięwzięć w celu wzmocnienia jej „obronności”.

Także przewidywania potwierdzają również wypowiedzi bońskiego ministra Schroedera na innej konferencji — 7 ministrów obrony krajów NATO w Bonn oraz kanclerza Kiesingera na wydanym z tej okazji przez niego śniadaniu. Obaż otwarcie wzywali sojuszniczne państwa do wzmocnienia militarnej gotowości bloku atlantyckiego.

Chociaż inicjatorzy spotkania nowojorskiego bardzo zabiegali, aby nie nadawać mu rozgłosu, a sekretarz generalny NATO podkreślił, że obrady bońskie nie były inspirowane wydarzeniami sierpniowymi w Czechosłowacji — jest to jednak ciąg dalszy prób wyciągnięcia zimnowojennego profitu z rozwoju sytuacji w Europie.

Niepowodzenia Ruska na sesji ONZ, negatywne przyjęcie jego wystąpienia, którym to jak kamertonem chciał nadać antyradziecki i antyjodprężeniowy ton, nie rokują jednak większych nadziei kołom militarnym.

Z rozmów nowojorskich wymienić trzeba jeszcze rozmowę nowego przedstawiciela USA w ONZ — J. Wigginsa z różnymi przedstawicielami krajów członkowskich. Wyrażał on w nich m. in. dużą troskę o rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie, zapewniając, że Stany Zjednoczone nie uczynią niczego, co miałoby utrudnić pokojową misję amb. Jarringa. Tuż po tych oświadczeniach Johnson zgodził się na rozmowy z Izraelem w sprawie sprzedaży 50 odrzutowców Phantom F-4.

Jak widać, Wiggins w bardzo „specyficzny” sposób rozumie amerykańską pomoc dla wysiłków specjalnego wysłannika ONZ w rejonie Bliskiego Wschodu — amb. Jarringa.

Z Paryża w minionym tygodniu nadeszła wiadomość o 25 oficjalnym spotkaniu przedstawicieli DRW i USA. I tym razem nie przyniosło ono rezultatu. Pięć miesięcy trwa już rozmowy, ale oprócz zapewnień o „dobrej woli” delegacja Stanów Zjednoczonych nie uczyniła ani kroku w kierunku przywrócenia pokoju w Wietnamie. W dalszym ciągu bombarduje się terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu i w dalszym ciągu pół miliona żołnierzy amerykańskich prowadzi działania wojenne przeciwko narodowi wietnamskiemu.

Co wobec tego warte są zapewnienia Białego Domu o jego rzekomej gotowości politycznego rozwiązania konfliktu?

— Jeśli prezydent Johnson rzeczywiście do tego dąży — powiedział przewodniczący wietnamskiej delegacji na rozmowy w Paryżu, Xuan Thuy — to ma on jeszcze dość czasu i dość władzy, aby to uczynić!

Jednak ani Johnson, ani wyznaczony przez partię demokratyczną na jego następcę — Humphrey, mimo coraz częstszych obietnic zakończenia wojny, praktycznie nie w tym kierunku nie przedsięwzięli. Mgliste oświadczenie Humphreya o „ryzyku” przetrwania bombardowań DRW podkopywały tylko względy taktyki wyborczej i nie nie wskazuje na to, aby zamierzał wprowadzić je w życie.

W. SŁAWSKI

Dyskusja przed WZJAZDEM

Dzisiaj publikujemy wypowiedź sekretarza Zarządu Wojewódzkiego TWP — DANUTY MIKOŁAJCZYK

Dyskusje, jakie toczą się w czasie obrad konferencji partyjnych na terenie naszego województwa, skłaniają do pewnych refleksji na temat roli, jaką pełniła i będzie pełnić nauka i twórczość w życiu Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Dyskusjanci frontu ideologicznego na konferencji w Zduńskiej Woli zwracali uwagę na zwiększające się zadania wychowawcze, prelegentów i innych działaczy. Postulowali oni potrzebę doskonalenia swej pracy. swej wiedzy aby właściwie realizować wychowawcze zadania, zmierzające do stałego podnoszenia poziomu kulturalnego społeczeństwa.

W tezach na V Zjazd partii czytamy: „Partia przywiązuje wielką wagę do rozwoju kultury narodowej, która kształtuje wobraźnię i świadomość społeczeństwa w duchu odpowiedzialnym nowym, socjalistycznym, stożym społeczeństwem. Upowszechniając na coraz szerszą skalę najcenniejsze wartości kultury polskiej i ogólnoludzkiej, wzbogacamy życie narodu, zaspokajamy rosnące potrzeby społeczne”.

Dla nas, mieszkańców Łodzi i Ziemi Łódzkiej słowa te są potwierdzeniem dotychczas prowadzonej polityki kulturalnej. Systematycznie rośnie środowisko naukowe i twórcze wpływające na zmianę oblicza naszego miasta oraz miast i miasteczek województwa. Powstają nowe obiekty stwarzające warunki dla coraz lepszej pracy wyższych uczelni naszego miasta, coraz więcej w naszych osiedlach pracowni dla naszych artystów plastyków. Teatr Wielki przyciąga nie

tylko mieszkańców Łodzi i Ziemi Łódzkiej, muzea wzbogacają swoje zbiory o najbardziej wartościowe zabytki kultury dawnej i współczesnej. Wszystko to świadczy niewątpliwie o twórczym wysiłku środowisk, a jednocześnie o trosce naszych władz zaangażowanych w sprawę rozwoju nauki i sztuki. Doskonalenie warsztatu naukowców i artystycznego, poszerzenie środowisk jest dla nas mieszkańców Łodzi i województwa powodem do wielkiej dumy, jednocześnie jako odbiorcy tych dóbr oraz działacza odcinka popularyzacji, a bliżej Towarzystwa Wiedzy Powszechnej nurtują pewne problemy.

Towarzystwo nasze w Łodzi ma przeszłość bogatą w aktywny udział ludzi nauki i sztuki na odcinku popularyzacji. Nazwiska najwybitniejszych polskich artystów i uczonych związanych z łódzkiimi uczelniami są, można powiedzieć złotymi literami wpisane w dzieło wielkiego, masowego ruchu oświatowego lat pięćdziesiątych, kiedy to wylazłszy odczyty nie tylko w Łodzi, ale na wsiach w miasteczkach i miastach naszego województwa. Niedługo później słuchacze po raz pierwszy widzieli uczonego czy artystę.

Dzisiaj sytuacja jest inna. Te lewizja pozwala na „ogładanie” uczonych i artystów — można powiedzieć, na co dzień. Czy to zaspokaja rosnące potrzeby podnoszenia poziomu kulturalnego i zawodowego naszego społeczeństwa? Czy środki masowe, przekazywane w stanie całkowitego zaspokolenia głodu wiedzy? Wiemy,

że nawet najdoskonalszy wykład uczony czy wypowiedź artysty poprzez telewizję nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu.

Stąd znaczna rola i wznosząca zapotrzebowanie na tzw. tradycyjną formę popularyzacji, jaką prowadzi Towarzystwo Wiedzy Powszechnej.

Zważywszy na ogromnie szybki rozwój nauki, coraz to nowe osiągnięcia w dziedzinie techniki i nauk przyrodniczych, nowe spojrzenia, nowe poglądy i ciągle dyskusje w naukach humanistycznych, zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ciąży na nas za upowszechnianie treści. Sytuacja ta zobowiązuje Towarzystwo do stałego doskonalenia kadry popularyzatorów skutujących w TWP. Jest to zadanie ogólnie ważne dla inteligencji mieszkającej i pracującej w miastach, miasteczkach i na wsiach województwa. Rozwiązanie tego problemu widzę jedynie w warunkach szerokiego zaangażowania się łódzkiego środowiska naukowego, w działalność TWP tym więcej, iż znaczna liczba inteligencji Łodzi i województwa to absolwenci łódzkiej uczelni. Jest to także dodatkowa okazja do kontynuowania stosunków nauczyciel — uczeń, co wydaje mi się może dać wiele satysfakcji dla obu stron.

Nie oznacza to oczywiście, iż jest to zadanie nowe, prowadzone bowiem przez Zarząd Wojewódzki TWP na terenie województwa punkty odczytowe. „W pracowniach polskich uczonych”. „Spotkania z sztuką”, czy zebrania sekcji specjalistycznych TWP są tego przykładem. Chodzi o to, aby działalność tego rodzaju była bardziej powszechna. Zarząd Wojewódzki TWP robi wszystko, aby to zadanie było z pożytkiem dla obu stron realizowane. Nieco odmiennie wchodzi sytuacja współpracy TWP ze środowiskami artystycznymi. Jest ona znacznie węższa, często ograniczona do kontaktów — choć bardzo serdecznych — ale jednakowego stanu rzeczy jest chyba niewiele, nie miejsce tu moim zdaniem na ich analizę.

Potrzeba współdziałania jest wielka, znamy bowiem silną argumentację naukową,

ale jednocześnie znamy także potęgę oddziaływania sztuki na człowieka. Stąd boli mnie czasem pewna, być może do zorna izolacja środowiska artystycznego Łodzi. Myślę tu oczywiście o szeregu imprez, jakie są przez poszczególne środowiska organizowane, a które wydała mi się być zamknięte dla społecznego, aktywnego oświatowego naszego Towarzystwa, szczególnie powiatowego. Powie ktoś łatwo krytykować, a co samo TWP?

Proponuję: zapraszamy Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich, aby jedna ze swoich dyskusji, jakie organizuje, odbył w gościnnych salach miejskiej biblioteki w Piotrkowie — Zarząd Powiatowy TWP będzie wdzięczny; prosimy Oddział Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu aby jedna ze swych imprez przyniosła do Tomaszowa Maz. — Zarząd Powiatowy TWP na pewno godnie przyjmie; Klub Wiedzy i Myśli TWP w Żychlinie zaprasza Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich do wzięcia udziału w dyskusji (temat do uzgodnienia). Sieradz oczekuje ponownie na spotkanie z SEMA-FOREM. Wiem także o Zduńskiej Woli, a może również Wytwórnia Filmów Oświatowych „organizuje” przez gład swoich filmów z udziałem twórców w Łowiczu i Wieruszowie. Propozycji jest wiele. Ziemia Łódzka nieklna, znamy ją z własnych podróży, bądź z twórczości naszych łódzkich, a ostatnio nie tylko łódzkich plastyków, którzy swe prace z plenerów organizowanych przez Rady Narodowe, WKZZ, i zakłady pracy, chyba zbyt rzadko w innych niż plenerowe miejscowości pokazują.

Zdaje sobie sprawę, iż moją ilość współdziałania TWP ze środowiskami artystycznymi Łodzi są daleko większe, naturalnie nie wszystkie od razu, ale podjąć współpracę trzeba. Jest to w moim głębokim przekonaniu jedna z dróg do pełnej integracji środowiska twórczego i społeczeństwa miasta i województwa, pozwoli ona także inteligencji województwa pełnić taką rolę o jakiej mówił prof. dr J. Szczepański — do przechodzenia od bierności do aktywnej konsumpcji kulturalnej i od czynnego do twórczego udziału w życiu kulturalnym swego otoczenia.

liczna rozpoczęło się ogromne, specjalnie przygotowane na te uroczystości widowisko plenerowe „Białoczerwona” pióra Marka Wawrzkiwicza i Tadeusza Szewery. Widownia była ogromna i nie jest łatwo grać przed taką widownią, ale aktorzy Teatru Ziemi Łódzkiej i „Estrady” sprościli temu odpowiedzialnemu zadaniu. Scenariusz operując szerokimi planami sytuacyjnymi, piosenką, wierszem, jednym często i celnym dialogiem ukazał w ogromnym skrócie najwartościowsze tradycje walki narodowowyzwoleńczej Polaków, poczynając od Insurekcji Kościuszkowskiej aż po lata ostatniej wojny. Szczególnie wiele akcentów widowiska poświęconych było zbrojnemu czynowi polskiego, antyfaszystowskiego podziemia. Całość sprawnie wyreżyserował Mieczysław Stefański. Opracowanie muzyczne: Czesław Majewski, scenografia: Marion Stańczak.

To głęboko ideowo zaangażowane widowisko uznać należy za niezwykle pożyteczne i udane. Zastrzeżenie może budzić tylko ten jego fragment, kiedy na ogromnym, stylizowanym orle, godle Polski, które stanowi zasadniczy element scenografii pojawiają się na krótko sztandary i emblematy hitlerowskie. Ten orzeł, godło Polski, nigdy nie był zdeptany, czego najlepszym dowodem choćby zbrojny czyn gwardzistów w okolicach Polichna, czego dowodem bohaterka walka całego polskiego antyfaszystowskiego podziemia.

Widowisko zasługuje na to, aby je powtórzyć przed mieszkańcami Łodzi i wystarczy drobne przeprośowanie scenografii, aby wzmocnić jego artystyczną i ideową wymowę.

W sprawozdaniu swoim nie mogę pominąć skansenu partyzanckiego, zlokalizowanego w lesie, nie opodal muzealnego pawilonu. Szafasy i ziemianki, rekonstrukcje partyzanckich instalacji wojskowych stanowią ważne uzupełnienie muzealnych ekspozycji. Są poglądową lekcją walki i bohaterstwa partyzantów, zbrojnego czynu narodu polskiego.

K. F.



Do niedawna był tutaj tylko las. Niemcy, ale rzetelny świadek zbrojnego czynu gwardzistów, którzy pod dowództwem Franciszka Zubrzyckiego, legendarnego Małego Franka, 10 czerwca 1942 roku tu walczyli, nie opodal wioski Polichno, stoczyli walkę z przeważającymi siłami hitlerowskiej żandarmerii i gestapo.

Do niedawna był tutaj tylko las. A przecież jest to jedno z setek, jeśli nie tysięcy, miejsc poświęconych krwią najlepszych synów naszej Ojczyzny, którymi naznaczona jest polska ziemia.

Było ich wtedy czterem, słabo uzbrojonych i każdy karabin, każdy pocisk liczył się na wagę ich młodego życia. Było ich wtedy czterem, ale występowali z upoważnieniem i w obronie polskiego ludu, mieli za sobą prawdę i moralną siłę Polaków, pobitych ale nie pokonanych przez najeźdźców, szli więc „ze spalonych wsi i głodujących miast” po zwycięstwo.

Mała, zagubiona wśród lasów wioska Polichno, świadek pierwszego zbrojnego zrywu organizującej się, jako zbrojne ramie PPR, Gwardii Ludowej, słusznie więc urosła do rangi symbolu. Pamięć o pierwszych leśnych-komunistach, którzy oddali życie za niepodległość ludową Polskę, tutaj właśnie, przy szosie prowadzącej z Piotrkowa do Wolborza, nakazywała wnieść pomnik-muzeum, które znamy już wszyscy jako MUZEUM CZYNU PARTYZANCKIEGO.

Biała bryła muzealnego pawilonu wkomponowana jest w krajobraz leśny. Autorzy projektu architekto-

nicznego Jan Michalewicz i Stanisław Żelobny świadomie nadali budynkowi formę mauzoleum; jego kubatura nie jest imponująca, sam pawilon jednak sprawia monumentalne wrażenie. Do pogłębienia tego nastroju przyczynia się świetnie zkomponowany plastyczny wystrój budowli, którego autorem jest artysta-plastyk Michał Galkiewicz. Szczególnie ekspresyjne są kraty zamykające liczne wnęki wewnętrzznego dziedzińca z mistrzowsko rozwiązaną metaloplastyką.

Również układ ekspozycji muzealnej, na którą składają się rozlokowane w szklanych gablotach liczne pamiątki zbrojnego działania Gwardii Ludowej na Ziemi Łódzkiej, dopełnia nastroj powagi i, nie bójmy się tego słowa, wzniosłości. Wędrówka wzdłuż gablot pobudza do refleksji, a wiedzący otrzymuje rzetelny, udokumentowany obraz działalności komunistycznego podziemia w województwie łódzkim.

Uroczystościom otwarcia tego pierwszego w naszym kraju Muzeum Czynu Partyzanckiego towarzyszyła potężna manifestacja ludności naszego województwa. Okoliczne pola zamieniły się w ogromny parking samochodowy i tysiączne tłumy gromadziły się nie opodal obelisku — pomnika Czynu Zbrojnego GL i AL, gdzie ustawiono honorową trybunę. Stąd właśnie wygłaszał swoje piękne przemówienie wicepremier Nowak, przemówienie, w którym znalazły się słowa adresowane szczególnie do młodzieży:

„Pamięć o bohaterstwie ojców jest przedmiotem naszej godności i dumy narodowej, potęguje umiłowanie ziemi ojczystej, dodaje siły i zapału do dalszej pracy nad rozkwitem naszej socjalistycznej ojczyzny i nad wzmocnieniem jej obronności”.

Szczególnie uroczystym momentem było ślubowanie społeczeństwa ziemi łódzkiej na wierność socjalistycznym i internacjonalistycznym ideałom, którymi przepojone jest życie i praca naszego narodu.

I ledwie przebrzmiały słowa tego ślubowania, na uświęconej ziemi Po-

Dalszy ciąg ze str. 1

oczywiście, zabrać się autokarami, ale wolno im pojechać tramwajem czy taksówką, jeśli mają na to ochotę. Tyle tylko, że wszystkie zajęcia są obowiązkowe i opuszczanie wykładów kosztuje sporo ujemnych punktów za dyscyplinę.

— A my tutaj wszyscy — zauważył Marek Łukin, przewodniczący Studenckiego Towarzystwa Naukowego — mocno ze sobą współzawodniczymy. Grupowo i indywidualnie o przodownictwo.

Co to znaczy? Zaczęli mi wyjaśniać. Wywiązała się właściwie dyskusja, bo niektórzy mieli wątpliwości, co do sposobu obliczania punktów. A w tej punktacji liczy się właściwie wszystko. Rezultaty egzaminów mają ogromny wpływ na ostateczny wynik, ale równie ważne jest przestrzeganie dyscypliny, a także praca społeczna. Nie musi to być jakieś nadzwyczajne ofiarństwo, wystarczy praca w kole naukowym, w organizacji społecznej czy nawet w klubie sportowym. Ale właśnie praca, dyskwalifikuje w tym współzawodnictwie wszelkie figuranctwo. I oni walczą, zaciekle, ale po rycersku o tytuł przodownika nauki, dyscypliny i pracy społecznej. Przodownictwo to medal i prawo wyboru pracy po studiach, to jest na pewno ważne. A oni mówią: przecież nie chodzi nam tylko o to, żeby zdobyć medal, ani nie o to zdjęcie na tablicy przodowników. Raczej o sprawdzenie samych siebie i moralną satysfakcję. Bo w tym wysiłku, jeśli się tylko człowiek naprawdę angażuje, wygrywa zawsze, nawet jeśli inni odbiorą mu pierwszeństwo.

Oczywiście są tacy, którzy wygrali podwójnie. Wobec samych siebie i wobec współzawodników. Porucznik Kidawa przez sześć lat z rzędu zdobywał przodownictwo, może być dumny ze swego lekarskiego dyplomu. W całej swojej studenckiej karierze tylko trzy razy zdał egzamin z wynikiem dobrym, wszystkie inne zaliczył na piątkę. Równie wartościowy jest dyplom lekarski porucznika Czernickiego. Przodownictwo zdobywał pięciokrotnie. Trzydzięci egzaminów zdał z wynikiem bardzo dobrym, tylko dziewięć z dobrym.

A trzeba pamiętać, że słuchacze WAM mają do przerobienia program o wiele obszerniejszy, niż ich koledzy z uczelni cywilnej, obowiązują ich bowiem dodatkowo egzaminy z przedmiotów czysto wojskowych i z nauk społeczno-politycznych.

Czy zostaje im odrobina czasu dla siebie, na prywatny użytek?

— Jakoś sobie radzimy — powiadają. — Nawet na figle można czasem wygospodarować minutkę czy kwadransik.

Te figle to tradycyjne piawienie w przeciwpożarowym baseniku. W mundurze, butach, pod krawatem na cześć zdanej sesji. Pewien student WAM wszedł na Piotrkowskiej na latarnię i wytrwał tam piętnaście minut, zgodnie z tym, co ssubował. Inny, który strawił wiele godzin nad podręcznikiem anatomii Bochenka, na cześć zdanego egzaminu odbył boso pielgrzymkę od Collegium Anatomicum aż do sанных koszar. Oczywiście ryzykował. Spotkanie patrolu WSW mogłoby zmienić marszroute pielgrzymki, do garnizonowego aresztu. Bo re-



ARES W BIAŁYM KITLU

gulaminy wojskowe są surowe. Ale młodość jest od nich silniejsza.

3.

Dzień Podchorążego — dzień otwartych koszar. Właściwie każdy ma wtedy wstęp za bramę z drucianej siatki. Chłopcy zakła dają paradne mundury i nie idą na zajęcia. Tak jest już od lat, od początku istnienia Akademii. A chociaż uczelnia, pomimo tego wysokiego parkanu, nie odgradza się od miasta, Dzień Podchorążego jest dobrą okazją do rozszerzenia istniejących już kontaktów.

Właściwie mogłoby to wyglądać tak, jak w tej żartobliwej piosence. „To idzie wojsko na ludność zew”. To znaczy, dowódcy zarządzają zbiórki, cała uczelnia robi zwrot na pięcie i czwórkami, ze śpiewem na komendę, maszeruje na kolejną akcję.

Tak mogłoby oczywiście być, ale byłoby to równoznaczne z lekceważeniem dojrzałości i samoświadomości chłopców, którzy studiuja w murach WAM. Bo już sam fakt, że zdecydowali się na trudne, odpowiedzialne studia dowodzi, że ich decyzja nie była przypadkowa: wiedzą po co tutaj przyszli i chcieli tutaj przysiąc. Ich los rozstrzygnął się z chwilą przekroczenia bram uczelni i nie żalują tego. Są oczywiście i tacy, co nie wytrzymują trudów nauki, wykuszają się, ale ten odstępek, w porównaniu z niepowodzeniami studentów na innych uczelniach, jest bardzo niewielki: zaledwie 14%.

Nie, nie potrzeba zarządzać zbiórkami. Sami, z własnej woli chodzą do prac społecz-

nych. Liczba godzin, które z łopatami w ręku spędzili przy porządkowaniu miasta jest imponująca, a przecież nie oddaje wszystkiego.

W jednej ze świetlic pokazują mi telewizor. Zwykła, drewniana skrzynka ze szklanym ekranem. W pierwszej chwili nie bardzo nawet wiedziałem, dlaczego mnie do niej prowadzą. Zdaje się, wtruszyłem nawet ramionami. Wtedy wążasz z III roku studiów uśmiechnął się i powiedział:

— Zapłaciłmy za ten telewizor własną krewką.

Nie zrozumiałem. Zaczęli mi więc tłumaczyć, opowiadać o akcji honorowego krwiodawstwa. Jako przyszli lekarze wiedzą doskonale jakie znaczenie odgrywa krew w ratowaniu życia chorych. I oddali 50 litrów na rzecz miasta, teraz ich miasta, bo w ciągu długich lat studiów przywiązują się do Łodzi. A przecież na tym nie koniec kontaktów z robotniczym miastem.

Są poza tym jeszcze prelegentami, społecznie wygłaszają odczyty. To może jeszcze ważniejsze niż praca z łopata w ręce. I jedzą na „białe niedziele”. Stałą opieką objęli powiat bełchatowski, ale docierają i gdzie indziej.

Dzień Podchorążego — władza rektorska na uczelni przestaje istnieć. Studenci na jedną dobę wybierają spośród siebie senat akademicki, rektora i dziekana. W sali klubowej gra orkiestra i wszystkim wiadomo, że „Bal Podchorążego” wypadnie, jak zawsze, okazale. Zresztą mają własny zespół beato-

wy, mają własny studencki teatr „Verbum”. Mają nawet własnych nadwornych poetów. I mają co pokazać gościom zaproszonym do koszar, na Dzień Podchorążego.

„Chciałbym widzieć u Was cechy takie, jak gorące umiłowanie ojczyzny, odwagę, również w prezentowaniu poglądów osobistych, dumę z Uczelni, której emblematy nosicie na mundurach teraz, a odznakę której nosić będziecie przez całe życie, szacunek dla naszych wychowawców i nauczycieli”.

Zdanie to podpisuje ze studenckiej gazety WAM „Nasze Sprawy”. Jest to fragment przemówienia rektora WAM, generała brygady prof. dr med. W. Łasińskiego do słuchaczy dydaktyczno-naukowej uczelni lekarskiej.

Przyjrzałem się odrobinę tym chłopcom. Może być pan spokojny, panie generale.

4.

Dziesięć lat to przecież naprawdę bardzo niewiele. To niewiele, jeśli się zliczy jeszcze nawet tych kilka wcześniejszych lat działalności Wojskowego Centrum Wyszczolenia Medycznego i Oddziału Medycyny Wojskowej przy Akademii Medycznej w Łodzi. A przecież dorobek tej naszej najmłodszej uczelni łódzkiej jest bardzo poważny: 678 prac naukowych. Kiedy WAM rozpoczęła działalność miała zaledwie dwóch własnych profesorów i sześciu docentów. Dzisiaj pracą dydaktyczno-naukową zajmuje się 3 profesorów zwyczajnych, 18 profesorów nadzwyczajnych i 32 docentów. W uczelni przeprowadzono 30 przewodów habilitacyjnych i 142 przewody doktorskie. Wśród doktorantów są już wychowankowie i absolwenci WAM.

Stało się to możliwe między innymi dlatego, że już studenci są wdrażani do systematycznej pracy naukowej. Odbija się ona w ramach istniejącego od trzech lat Studenckiego Towarzystwa Naukowego. Jego członkowie biorą udział w konferencjach specjalistycznych przygotowując własne, naukowe referaty, stają także do quizów naukowych, gdzie często uzyskują nagrody, rozstawiając jednocześnie imię swojej Alma Mater. Niektórzy, pamiętając o przyszłej pracy w jednostkach wojskowych podjęli podczas praktyk wakacyjnych badania nad fizyczną sprawnością żołnierzy.

W WAM działa blisko 20 naukowych kół studenckich i wykonano w nich 38 prac naukowych, z których połowa ukazała się drukiem. Pewnie, że to niewiele w porównaniu z liczbą publikacji całej uczelni, której dorobek zamyka się liczbą 3.200 opublikowanych prac naukowych. Ale to jednak nie bardzo dużo, zważywszy że chodzi o studentów, o ludzi, którzy dopiero się uczą.

Będą oficerami i będą jednocześnie lekarzami. Ares ubrany w biały, lekarski kitel. Ale to nie maskaradowe przebranie. Jedno i drugie upoważnia do prawdziwej, nieklamanej dumy.

KONRAD FREDLICH

UNIwersYTET już DOJRZAŁY

Dalszy ciąg ze str. 1

uwagi, troski o silniejsze niż dotychczas łączenie spraw dydaktycznych, naukowych z wychowawczymi, pedagogicznymi?

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Nie sposób dziś zapomnieć o wydarzeniach marcowych; wprowadzie u nas nie przybrały one form tak skrajnych jak w innych miastach, ale i te wypadki, z którymi się zetknęliśmy, wskazały wyraźnie na konieczność wzmożenia wysiłków w dziedzinie pracy ideowo-wychowawczej. Konieczność ta jest nieodzowna szczególnie dla uniwersytetów, które już z racji swego profilu specjalizacyjnego znajdują się w sytuacji znacznie bardziej eksponowanej, niż wysze uczelnie techniczne czy medyczne.

Od szeregu miesięcy niedomagania pracy ideowo-wychowawczej znajdują się w centrum zainteresowania społecznego. Dyskusje na ten temat nie są jeszcze zakończone. Wiele uwagi poświęcono im na tegorocznym Zjeździe Rektorów. Myślę, że warto tu podkreślić starą prawdę, ciągle jednakowo aktualną. O rezultacie naszej pracy wychowawczej decydują nie tylko programy i formy organizacyjne. Nie pomogą najsprawniejsze formy organizacyjne i najprecyzyjniej opracowane programy, jeśli nie znajda oparcia w szczerze zaangażowanej przepojonej obywatelską i nauczycielską troską postawie wychowawców, kadry naukowo-dydaktycznej wszystkich szczebli, uczelnianej organizacji partyjnej, organizacji związkowej, wręcz organizacji młodzieżowych. Jeśli idzie o organizację pewnych form

strukturalnych uczelni, to dotychczas organizacyjne ramy działalności naukowej Uniwersytetu Łódzkiego tworzyło 87 katedr. Ta forma organizacji spotyka się od dawna z głosami krytyki wykazującej, że zbyt nie rozdrabnianie struktury uczelni prowadzi do rozproszenia wysiłków i zmniejszonego wykorzystania potencjału badawczego. Stąd tendencje do tworzenia jednostek większych — zespołów katedr lub instytutów. Prace w tym kierunku zostały przez nas zapoczątkowane, staramy się jednak unikać decyzji zbyt pochopnych. Będziemy zmierzali do przekształcenia struktury uczelni w bardziej celową, wykorzystując wszystkie doświadczenia w tej dziedzinie, między innymi naszego Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, które doczekały się pochlebnych komentarzy na ostatnim Zjeździe Rektorów w Warszawie.

— Jak ocenia Pan działalność organizacji młodzieżowych na Uniwersytecie Łódzkim?

— Nie pod każdym względem zasługiwały one na ocenę pozytywną. Obok niewątpliwych osiągnięć dostrzec można, zwłaszcza w niektórych okresach, objawy dezorientacji, nieporadności organizacyjnej i zbyt małego wpływu na całość młodzieży akademickiej. Nowy projekt ustawy o szkolnictwie przewiduje szeroki udział przedstawicieli organizacji młodzieżowych w różnych kierowniczych organach uczelni. Nasi wychowankowie powinni zważyć sobie sprawę, że ich pozycja w tych organach zależeć będzie głównie od nich samych, od wykazanej przez nich dojrzałości i gotowości podejmowania trudów, od tego wreszcie czy zrozumieją, że udział w kierowaniu uczelnia to przede wszystkim udział w ponoszeniu odpowiedzialności za jej losy.

Optymizmem mogą napawać tu dobre wyniki tegorocznej akcji studenckich obozów naukowych. W 14 takich obozach osiągnięto cenne rezultaty: Na odrębną wzmiankę zasługuje m. in. po raz pierwszy w naszym kraju zorganizowany międzynarodowy studencki oboz archeologiczny, w którym obok naszej młodzieży uczestniczyli studenci z ZSRR, NRD

i krajów skandynawskich. Obozy naukowe działały pod patronatem ZSP, ZMS i ZMW, w ścisłym związku z pracą kół naukowych.

— Jak Pan Rektor ocenia naukowy dorobek uczelni?

— Odpowiedź na to pytanie wymagałaby szerokiego omówienia, na które chyba nie ma miejsca w wywiadzie. Wymienię może tylko kilka faktów, świadczących o uznaniu okazanym Uniwersytetowi Łódzkiemu poprzez wyróżnienie jego przedstawicieli. Prof. dr Jan Dylak został odznaczony doktoratem honoris causa dwóch uniwersytetów francuskich, prof. dr Bernard Zablocki otrzymał nagrodę państwową II stopnia, prof. dr Adam Szpunar — nagrodę naukową miasta Łodzi. Z kolei nasz Uniwersytet nadał tytuły doktora honoris causa wybitnym przedstawicielom nauk prawnych: prof. Joffe z Leningradu, prof. Nedbałoj z Kijowa i prof. Capitani z Paryża.

Warto tu wspomnieć też o kontaktach naukowych ze środowiskami zagranicznymi. Nie są one może tak szerokie jak byśmy tego chcieli, jednak rozwija się pomyślnie. W minionym roku akademickim 63 pracowników naukowo-dydaktycznych odbyło podróże zagraniczne na ogół połączone z wykładami, udziałem w kongresach, sympozjach i seminariach naukowych. Nasza uczelnia przyjmowała gości zagranicznych. Szczególnie ważne było tu Międzynarodowe Sympozjum Promieniowania Kosmicznego, zorganizowane w Łodzi przez Instytut Badań Jądrowych i Katedrę Fizyki Doświadczalnej UL. Notabene łódzki Ośrodek badań nad promieniowaniem kosmicznym mieści się w czołówce światowej placówek naukowych tego typu.

— I pytanie ostatnie, natury raczej materialnej. Wiemy, że Uniwersytet Łódzki to pod względem lokalowym najbardziej chyba rozproszona uczelnia w kraju. Czy w tej dziedzinie nastąpiła jakaś poprawa?

— Kwota przeznaczona na inwestycje UL w latach 1968/69 wynosi 85.785.000 zł. Jest to dużo w stosunku do tego co uczelnia otrzymała dotychczas, ale jest to bardzo mało wobec aktualnych potrzeb. Zacz-

ne może od pozytywów. W ubiegłym roku akademickim Uniwersytet przyjął nowy gmach Biologii i nowy Dom Studencki w osiedlu Lumumby. Ukończoną została gruntowna adaptacja gmachu Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego przy ul. Armii Czerwonej. Rozpoczęto budowę gmachu Katedr Matematyki przy ul. Matejki 22. Przejęto plac pod budowę pawilonu Techniki Obrachunkowych i rozpoczęto wykopy pod fundamenty. Trwają prace przy opóźnionej budowie tak potrzebnej stołówki studenckiej w osiedlu Lumumby. I wreszcie przekazano dane wyjściowe do projektowania gmachów dla kierunków chemii i fizyki oraz do projektowania następnego domu akademickiego, którego budowa ma się rozpocząć w 1969 roku, a zakończyć w 1970.

Wszystko to jest jednak mało wobec naszych potrzeb, mało wobec tego czym dysponują bądź będą niedługo dysponować inne uniwersytety w kraju. Ciągły niedobór pomieszczeń dydaktycznych sprawia, że zajęcia na naszej uczelni trwają 12 godzin dziennie. Z wielkimi trudnościami borykają się zakłady kierunków eksperymentalnych, mieszczące się w lokalach nie mających wiele wspólnego z bezpieczeństwem i higieną pracy. Brakuje miejsc w domach akademickich, nie mamy ani jednej stołówki studenckiej z prawdziwego zdarzenia, a stojujemy 2.700 studentów. Zle przedstawiają się również warunki mieszkaniowe absolwentów obejmujących stanowiska asystentów. Taka sytuacja mieszkaniowa wiedzie do dyskryminacji zdolnej młodzieży ze wsi i małych miasteczek. Jednak dzięki życzliwemu stanowisku miejskich i wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych, dzięki pomocy Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, no i oczywiście dzięki opiece ze strony całego resortu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, niewątpliwie będziemy mogli powoli lecz systematycznie pokonywać trudności i zasookajać podstawowe potrzeby naszej uczelni.

— Życzymy pomyślnych rezultatów w trudnej i poważnej pracy i dziękujemy za rozmowę.
Rozmawiała: TERESA WOJCIECHOWSKA

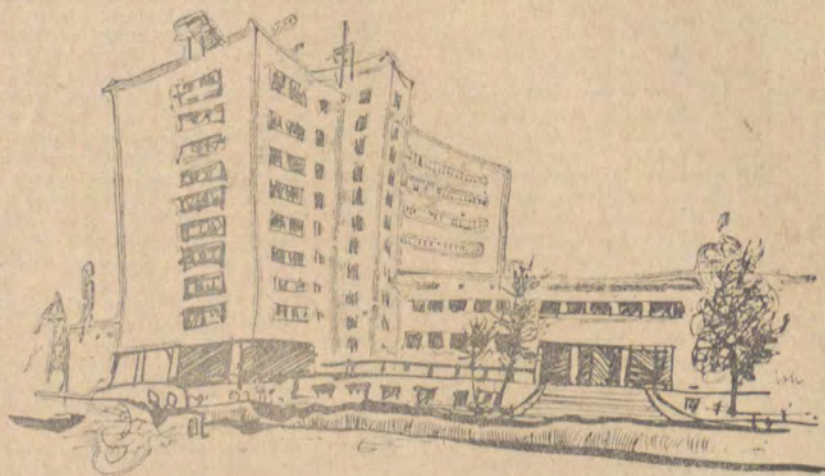


Pięć razy: ŁÓDŹ

Pięć dzielnic, z których każda składa się na całość zwaną Łodzią, wielkim przemysłowym miastem, stolicą polskiego przemysłu lekkiego. Pięć wyznaczonych administracyjnym podziałem części jednego miasta, jednolitego, posiadającego zdecydowane oblicze, określony charakter, wyróżniający je wśród wszystkich miast kraju. A jednak każda z tych pięciu dzielnic ma swoją specyfikę, która sprawia, że jest inna, pod wieloma względami niepodobna do pozostałych dzielnic. Ta specyfika wytycza pierwszoplanowe kierunki działania, zaspokajania najpilniejszych potrzeb, we wszystkich dziedzinach gospodarki i kultury.

Na osiągnięcia pięciu łódzkich dzielnic, ich potrzeby i zamierzenia — szczególnie w dziedzinie kultury — spójrzmy oczyma ich gospodarzy — pierwszych sekretarzy Komitetów Dzielnicowych Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Z przyczyn niezależnych od redakcji nie udało nam się uzyskać materiałów dotyczących dzielnicy Bałuty. Postaramy się zamieścić je w najbliższym czasie.



Rys. W. Kondek

**JERZY
CHABELSKI**
I sekretarz
KD PZPR



Do cech specyficznych Śródmieścia należy jego wielośrodowiskowość. Tu znajdują się prawie wszystkie kulturalne instytucje zawodowe: teatry, kina, muzea, księgarnie, kawiarnie, wszystkie centralne instytucje wyższej użyteczności publicznej, banki, większość zjednoczeń, większość biur projektowych, prawie wszystkie centrale handlu zagranicznego, ponad 70 procent drobnej wytwórczości, ponad 60 procent central handlu detalicznego i zakładów żywienia zbiorowego, wyższe uczelnie: Uniwersytet Łódzki, Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Plastyczna, wszystkie średnie szkoły muzyczne i związki twórcze. Ale jednocześnie Śródmieście skupia największą liczbę przedstawicieli klasy robotniczej, bo, ponad 78 tysięcy na 254 tys. w całej Łodzi.

Nasza dzielnica odznacza się największą specjalizacją przemysłową. Skupia na swym terenie głównie trzy gałęzie przemysłu: dziewiarsko-poczoszniczy (poza „Femina” i „Elasticana”, wszystkie zakłady tego typu), odzieżowy (cały — poza „Wólczańką”) i większość zakładów metalowego przemysłu precyzyjnego („Strzeleczyk”, Fabryka Zegarów, Zakłady Kserograficzne). Perspektywę rozwoju tych trzech gałęzi przemysłu na najbliższe lata są ogromne, zakrojone na skalę nigdy dotychczas nie spotykana.

W przemyśle dziewiarsko-poczoszniczym idziemy na generalną modernizację parku maszynowego. Fabryki otrzymują nowe maszyny, pochodzące głównie z krajów wysoko uprzemysłowionych: Włoch, Anglii i NRF. W latach siedemdziesiątych park maszynowy naszych zakładów odnowić będzie nowoczesnemu standardowi światowemu. Przemysł ten ma u nas bardzo krótką historię, w okresie międzywojennym były to zakłady raczej rzemieślnicze. Stąd bardzo niedobra sytuacja powierzchniowa fabryk dziewiarskich i poczoszniczych. Tak więc równoległe z unowocześnianiem parku maszynowego trzeba myśleć o inwestycjach powierzchniowych. Przyjęliśmy tu generalną zasadę inwestycji odtworzeniowych. Szereg zakładów, jak na przykład „Włoczańka”, „Rychliński”, „Olimpia” czy „Fenix” otrzyma nowe budynki two fabryczne. Tylko dla naszej dzielnicy przeznaczają się do roku 1975 łącznie około 4 miliarda 220 milionów zł. Na inwestycje w przemyśle dziewiarskim i poczoszniczym. Jest to suma przekraczająca wszystkie nakłady minionego dwudziestolecia.

Na rozwój zakładów przemysłu odzieżowego nakłady inwestycyjne w Śródmieściu wyniosą około 190 milionów zł, zaś na zakłady metalowe — ok. 1 miliarda 753 miliony zł. „Strzeleczyk” otrzyma nowy budynek fabryczny. Produkcja szliferek w tych zakładach wzrośnie trzykrotnie w latach 1969—1975. Będą to m. in. nowe, nieprodukowane dotychczas typy.

W dziedzinie inwestycji komunalnych i socjalno-bytowych plany są również szerokie. Zatwierdzony został już plan urbanistycznego wystroju dzielnicy. Zadaniem pierwszoplanowym jest tu przebieganie szerokich arterii wielokompleksowych. Prace w tej dziedzinie są już kontynuowane. Są to przedsięwzięcia pochłaniające ogromne sumy. Dla przykładu: likwidacja zwężeńia ul. Zachodniej na odcin-

ku od Zielonej do Włoczkowskiego kosztować będzie około 100 milionów zł.

O przebudowie centrum pisało już wiele, przypomnę więc tylko krótko. Trwa rekonstrukcja ul. Głównej w kwadracie: Śnieżkiewicza, Roosevelta, Piotrkowska. Będzie to dzielnica biurowców, gmachów siedzib urzędów wyższej użyteczności publicznej. W dalszych planach, do lat osiemdziesiątych, w prostokącie: Główna, Kilińskiego, Brzeźna, Piotrkowska ma powstać dzielnica 20-piętrowych bloków mieszkaniowych. Jest to projekt ważny w związku z inną cechą specyficzną naszej dzielnicy. Śród miast jest dzielnicą ludzi starszych. Stosunkowo ubogie budownictwo mieszkaniowe u nas i szybki rozwój osiedli mieszkaniowych na peryferiach miasta sprawia, że stale maleje u nas liczba mieszkańców. Obserwuje się systematyczny odpływ do innych dzielnic młodych małżeństw, młodzieży zakładającej nowe rodziny. O ile przed IV Zjazdem partii liczba mieszkańców Śródmieścia wynosiła 159 tysięcy, to w tej chwili wynosi ona już 140 tysięcy. Budowa osiedla mieszkaniowego w centrum wpłynęła na zahamowanie tego procesu. Na razie podjęliśmy decyzję o szerszym niż dotychczas stosowaniu tzw. budownictwa plombowego w miejscu wyburzanych starych domów, które przeżyły już swoją moc techniczną. To budownictwo przejmie spółdzielczość mieszkaniowa.

W dziedzinie urządzeń kulturalnych jesteśmy również dzielnicą nietypową. Jak już powiedziałem, tu koncentruje się większość placówek i instytucji kultury zawodowej. Uważając, że takie terytorialne nagromadzenie placówek artystycznych jest krzywdzące dla innych dzielnic, pod naszą opieką pozostawiliśmy tylko Teatr Wielki, Filharmonię i Telewizję. Pozostałe placówki znajdują się pod opieką innych dzielnic.

W działalności kulturalno-oświatowej szczególną wagę przykładaliśmy do rozwoju placówek i form pracy kultury masowej. Na Śródmieściu istnieje i działa 77 takich placówek: świetlic, klubów i domów kultury na 130 istniejących w Łodzi, czyli powyżej 50 procent ogólnej liczby w mieście. W pracy ich na przestrzeni ostatnich dwóch lat obserwuje się duży postęp, aczkolwiek wciąż jeszcze wadą tej pracy jest jej kampanijność. Mimo dużej liczby placówek k-o, mamy sporo kłopotów z pomieszczeniami, wiele istnieje bowiem przy drobnych i średnich zakładach pracy, gdzie warunki lokalowe nie są dobre. W ramach istniejących możliwości zakłady starają się jak najlepiej wyposażyć swe świetlice, za-

sadniczą jednak poprawę w tej dziedzinie przyniesie dopiero realizacja nowych inwestycji. Tu przy okazji warto powiedzieć, że nasza dzielnica dla uczczenia w Zjazdu partii podjęła zobowiązania wartości 178 milionów złotych, w tym wartości 4 milionów złotych czynu czysto społecznego, który obejmuje zobowiązania i powiększenia pomieszczeń pracy kulturalnej i oświatowej.

W Śródmieściu praca kulturalna i oświatowa jest chyba łatwiejsza niż w innych dzielnicach, mamy bowiem bazę w postaci Łódzkiego Domu Kultury, Młodzieżowego Domu Kultury im. Tuwima i Młodzieżowego Domu Kultury Włókniarzy. W placówkach naszej dzielnicy działają 63 amatorskie zespoły artystyczne, skupiające około 500 osób. W ubiegłym roku dały one 241 premier i 650 publicznych występów. Rocznie odbywa się około 700 imprez typu oświatowego w placówkach związkowych. W pracy oświatowej koncentrowaliśmy się w ostatnich latach głównie na dyskusjach o sztuce i filmie, spotkaniach z literatami, artystami, twórcami. Ostatnio poprawiła się znacznie współpraca z Tow. Wiedzy Powszechnej i Tow. Szkół Świeckich, organizujemy wspólnie akcje odczytowa, głównie o akcentach kulturalnych. Pod auspicjami spółdzielczości pracy organizowane są festiwale zespołów amatorskich, zaś w szkołach konkursy i quizy. Ten kierunek pracy kulturalnej i oświatowej musi być w przyszłości rozwijany i szerzej musi się nim zainteresować ZMS.

Na terenie Śródmieścia istnieją 44 biblioteki związkowe, w tym 29 o księgozbiorach powyżej 1 tysiąca woluminów. Natomiast za mało mamy jeszcze bibliotek rejonowych. Do średniej krajowej, przewidującej jedną bibliotekę na 10 tysięcy mieszkańców, brakuje nam pięciu bibliotek rejonowych. Sprawą palącą jest więc udostępnienie mieszkańcom dzielnicy bibliotek związkowych, mających wstęp do lokalnej bibliotecznej od ulicy. Ten sam problem notabene dotyczy i świetlic. Będziemy się starać, by wszystkie placówki nie znajdujące się w zamkniętym obrębie fabrycznym, mające dostęp z zewnątrz były udostępniane również mieszkańcom dzielnicy, a nie tylko pracownikom.

Nie udało nam się dotychczas nawiązać ściślejszych kontaktów ze środowiskami twórczymi: literatami, plastykami czy dziennikarzami, choć w ostatnim okresie obserwujemy dużą aktywizację tego ostatniego środowiska. Kontakty z tymi środowiskami mamy zamiar zacieśnić. Chcemy uściślić więź z artystami scenicznymi, częściej niż dotychczas organizować spotkania z załogami zakładów pracy, chcemy systematycznie organizować wystawy prac plastyków łódzkich w zakładach pracy, więcej uwagi poświęcić plenerom plastyków.

No i w miarę możliwości otwierać nowe, przestronne, nowoczesnie wyposażone lokale bibliotek, świetlic i klubów. Takie, które w odpowiednich warunkach, atrakcyjnym programem pracy przyciągać będą jak najszerze rzesze społeczeństwa naszej dzielnicy.

WIDZEW

**ANTONI
PROMIŃSKI**
I sekretarz
KD PZPR



Jeśli mam mówić o sprawach widzewskiej kultury przed V Zjazdem PZPR, to żadnym wypadku nie wolno mi zawracać tego zagadnienia do sieci kin, bibliotek czy też Domów Kultury. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że Widzew pod tym względem nie był dzielnicą zbyt udziwilielowaną. A mimo to — awans kulturalny Widzewa pomiędzy IV i V Zjazdem jest rzeczą oczywistą, namacalną.

Spójrzmy na ten awans w sposób szeroki, ogarniający całokształt zagadnienia. Dla mnie poeci kultury nie może ograniczać się jedynie do spraw literatury i sztuki. Zresztą — odbiór tych wartości warunkuje cały szereg czynników, zmieniających psychikę człowieka, pogłębiających jego świadomość. Nie ma mowy o kulturze tam, gdzie brak odpowiednich warunków bytowych, mieszkaniowych, sanitarnych... Tam natomiast, gdzie takie warunki powstają, awans kulturalny jest naturalnym plodem określonej bazy.

Wice powtarzam: awans kulturalny Widzewa jest rzeczą oczywistą, nie podlegającą dyskusji. W okresie sprawowania władzy ludowej, zdaliśmy odrobinę na terenie naszej dzielnicy, poważnie zafacofanie, pozostawione w spadku przez dawne rządy, a pogłębione przez okupanta zniszczeniami wojennymi.

Wspólny wysiłek władz renowych, partyjnego aktywu, wszystkich mieszkańców naszej dzielnicy, a także wydatna pomoc ludowej państwa przyniosły szereg istotnych przemian w warunkach życiowych ludności i w samym wyglądzie miasta. Przedwojenna zabudowa Widzewa składała się w większości z małych, drewnianych domków, z mieszkań przeważnie jednolobowych; pobawionych jakichkolwiek urządzeń sanitarnych i instalacji komunalnych.

Wystarczy powiedzieć, że między IV a V Zjazdem oddaliśmy do użytku 6.636 izb mieszkalnych, że w roku 1945 z sieci wodociągowej korzystało zaledwie 3 proc. mieszkańców Widzewa, a obecnie korzysta już z niej 75 procent. Analogicznie przedstawia się sytuacja w zakresie korzystania z sieci gazu wód i kanalizacyjnych.

Powstały nowe osiedla

mieszkańców: na Zbiorecz, Widzewie Zachodnim, Golebiach. Dzięki temu wskaźnik zagęszczenia mieszkańców, który w roku 1945 wynosił około 3 osoby na izbę — obecnie wynosi 1,6. Ludzie nie mieszkają już w poniżających warunkach, na poddaszach i w suterrenach, niedługo znikną całkowicie domki kuniżerowskie.

Poważnie także zmienił się wygląd estetyczny naszego Widzewa. W roku 1945 mieliśmy 500 metrów ulic o nawierzchni szlachetnej i tylko 25 procent posiadało oświetlenie elektryczne — dziś ponad 40 km na nawierzchni uszlachetnione, jeśli zaś chodzi o oświetlenie, to jedynie ulice leżące na głębokich peryferiach Widzewa mogą się jeszcze skrzyżować na jego braku.

Usprawiliśmy komunikację przez uruchomienie szeregu linii autobusowych, podaliśmy kapitalnym remontem 1.083 budynki mieszkalne i gospodarce za niebawem suma 147.918 tysięcy złotych.

Poprawiły się warunki lokalowe Dzielnicowej Służby Zdrowia. Sa nowe pomieszczenia dla Poradni Dziecięcej przy ul. Wysokiej i ulicy Nowej, przy której zlokalizowano także w ostatnim okresie dwie poradnie dentystryczne i dwie poradnie ogólne, natomiast przy ulicy Niczarnianej wybudowaliśmy Poradnię Internistyczną oraz jakże ważną dla mieszkańców Widzewa, Poradnię Lekarsko-Dentystyczną. Przy ulicy Szpitalnej zorganizowana została Dzielnicowa Przychodnia Przeciwwróżliwa, mieszcząca się dotąd na Mołuszkach 7/9 i będąca dla mieszkańców naszej dzielnicy niewygodną ze względu na duże odległości od miejsca zamieszkania. Jednym słowem: przeciagnęliśmy na teren Widzewa dużo ośrodków leczniczych, powialiśmy leczniczo otwarte z zamkniętym, co zapewniamy pacjentom lepsze powiazanie ze szpitalem i przychodnią.

W latach 1969—1970 wybudujemy 8 tysięcy izb mieszkalnych, rozszerzymy zasięg sieci wodno-kanalizacyjnej, powstaną nowa arteria komunikacyjna północ-południe, zmienią się na lepsze oświetlenie i nawierzchnia w wielu ulicach, nastąpi dalszy rozwój placówek handlowych i usługowych o 10 pawilonów. Wybudujemy dwie nowe szkoły podstawowe na Zarzewiu, dwa przedszkola i żłobek.

Jeśli chodzi o rozwój kultury fizycznej, to jest on na Widzewie próżny. Pod tym względem nie należymy do ostatnich. Mamy hale, najróżniejsze boiska, sale gimnastyczne, korty, basen. To dobrze. Też zjazdowe zakładają stonpniowe przebiegi ludzi na 5-dniowy tydzień pracy. Wypełnienie wolnego czasu, zaspokojenie potrzeb kulturalno-oświatowych, społecznych i turystycznych stało się wkrótce szczególnym problemem.

Dlatego też plany perspektywiczne Widzewa zakładają dalszy rozwój ośrodków rekreacyjnych. Rozbudowany zostanie ośrodek Anilany i wybudowany nowy ośrodek wodny na Przedzalaniei, powstaną także kilka nowych boisk dla młodzieży i placów zabaw dla dzieci.

Wszystko, co dotąd na Widzewie zbudowano i co w niedalekiej przyszłości powstanie — składa się i złoży na odpowiednią bazę, z której, rzecz jasna, wyrósł także kultura w tym wszystkim pojęciu.

Czyż nasza dzielnica nie zyskała na kulturze z chwilą, kiedy zakończy się budowa wielkiego kombinatu prasowego? Będzie on zapewne nie tylko ozdobą Widzewa, nie wyliczając akcentem architektonicznym, lecz także ośrodkiem żywego oddziaływania społecznego, kulturalnego i politycznego.

Liczmy wszakże nie tylko na prasę. Przy placu Zwycięstwa ma powstać w niedalekiej przyszłości wielki reprezentacyjny Dom Związków Zawodowych, wyposażony w sale kinowa, klub, kawiarnię, bibliotekę, to wszystko, czego Widzew bardzo przecież potrzebuje do harmonijnego rozwoju.

Powstana w różnych punktach dzielnicy dalsze świetlice, punkty biblioteczne, także inne ośrodki kulturalne. Ale powtarzam: wszystko, co powstało i powstanie w zakresie tej wyżej pojętej kultury, musi się u nas narodzić na gruncie solidnych podstaw kultury w tym najszerszym słowa znaczeniu.

Dzięki władzy ludowej — dzisiejszy Widzew, to nie ta sama zaniedbana dzielnica, rezerwat siły roboczej w niedłuzki sposób wyzyskiwanej przez różnymi i obcych kapitalistów.

Nam, komunistom, wystarczy 23 lata w okresie, w którym sprawujemy władzę w naszej odrodzonej Polsce, aby gruntownie przeobrazić zarówno życie jednostki jak i życie społeczeństwa, zmienić nie tylko pozmiana jedno i drugie.

Zapewne nie w każdym mieście i nie w każdej dzielnicy Łodzi było do zrobienia, do przeobrażenia tyle, co na Czerwonym Widzewie. Zapewne są miasta i dzielnice bogatsze od Widzewa.

W obecnej jednak sytuacji można śmiało powiedzieć, że Widzew ma szansę walczyć się w najbliższym czasie do współzawodnictwa w dziedzinie pomnażania swoich dóbr kulturalnych, ma szansę jako silna, wielka, przemysłowa dzielnica, zaprawiona w boju o potęgę gospodarczą miasta i Polski.

GÓRNA

**JERZY
PIEKLARZ**
sekretarz
KD PZPR



Górna zalicza się do większych dzielnic Łodzi, zarówno ze względu na liczbę ludności (blisko 200 tys. mieszkańców), jak też pod względem terytorialnym. Terytorium to jest bardzo rozciągnięte, a jednocześnie ogromnie zróżnicowane. Dość powiedzieć, że w naszych granicach znalazły się: Ruda, Górniak, Chojny, Zatorze. I chociaż charakter dzielnicy określa przemysł, z reguły przemysł lekki, mamy na swoim terytorium tereny właściwie wiejskie, z siecią kółek rolniczych i wiele gospodarstw ogrodniczych.

W okresie międzywojennym dzielnica nasza należała do najbardziej upośledzonych pod względem kulturalnym. Zresztą braków było więcej. Budownictwo mieszkaniowe uragało wszelkim zasadom higieny i estetyki. Niedostatecznie rozwinięta sieć komunikacji sprzyjała podziałowi dzielnicy na małe enklawy, gdzie czasem znajdował ażył element przestępczy. Toteż po wojnie, kiedy zmieniła się rzeczywistość społeczna, kiedy energicznie zabraliśmy się do odrabiania zaniedbań, startowaliśmy właściwie od zera.

Charakter naszej dzielnicy, dziś, w dwudziestym piątym roku istnienia władzy ludowej, jak już wspomnieliśmy, określa przemysł. W porównaniu z okresem międzywojennym — dzięki znacznemu rozbudowie, zmieniła się też jego struktura. Przeważa wciąż przemysł lekki, ale jednocześnie mamy wiele zakładów innych branż, że wymienię tutaj choćby Łódzkie Zakłady Radiowe z nowym, wspaniałym gmachem albo Zakłady Sprzętu Motorycyjnego, gdzie się produkuje gaźniki do polskiego „Fiata”. Wreszcie w naszej dzielnicy znalazła lokalizację elektrociepłownia, wielka inwestycja przemysłowa lat ostatnich, dzięki czemu Górna stała się centrum energetycznym Łodzi.

Przemysł na terenie naszej dzielnicy zatrudnia 60 tys. osób. To bardzo istotne, gdyż zakłady przemysłowe są jednocześnie poważnymi ośrodkami pracy kulturalno-oświatowej, utrzymują sieć młodzieżowych domów kultury. W domach tych są na ogół dobrze wyposażone biblioteki, działają kółka zainteresowań, dyskusyjne kluby filmowe, a nierazko zespoły artystyczne o niebagatelnym dorobku. Wyróżnia się

Dom Kultury „Energetyk”, gdzie działa zespół „Problemy”, laureat wielu krajowych konkursów. Ale dobrze pracują także zespoły przy zakładach im. Dzierżyńskiego i Armii Ludowej. Warto może podkreślić, że mamy na swoim terenie także przemysł par excellence związany z kulturą. Mam tutaj na myśli Wytwórnę Filmów Oświatowych w Łodzi, której dorobek liczy się w kraju, a nawet w świecie, o czym świadczą liczne laury zagraniczne naszych filmowców.

Zakłady przemysłowe odgrywają więc ważną rolę w życiu kulturalnym dzielnicy, ale to daleko do pełnego bilansu. Myślę, że za szczególnie pozytywny fakt, istotny w ogólnym rachunku rozwoju kulturalnego Górnej, trzeba uznać w pełni już właściwie zakończony proces integrowania poszczególnych dzielnic etnograficznych, łączenia ich mocnymi więzami ze sobą i z resztą miasta. Do rangi niemal symbolu urasta tutaj wybudowany nakładem stu milionów złotych wiadukt na ulicy Rzgowskiej, który zbliżył egzystujące gdzieś na krańcach Zatorze do Śródmieścia. Wyrównaliśmy także różnice i dysproporcje w zabudowie poprzez wzniesienie z rozmachem nowe mieszkaniowe osiedla. Dąbrowa (zamieszka tam 60 tys. ludzi), Kurak, Nowe Rokicie poważnie kształtują nowy obraz dzielnicy jeszcze do niedawna tak bardzo zaniedbanej. Procesowi budowy nowych osiedli mieszkaniowych towarzyszy systematyczna rozbior ka ruder odziedziczonych w spadku po kapitalizmie. Oczywiście nie stać nas na przebudowę wszystkiego, cieszy nas jednak, że już coraz rzadziej można spotkać na Górnej takie fragmenty ulicznej zabudowy, które stanowiłyby swoisty skansen dawnej epoki społecznej.

Wiele braków występowało w dziedzinie czytelnictwa, sieci bibliotek. Te zaniedbania zaważyły w jakiś sposób na sytuacji, którą mamy dzisiaj. Ilość bibliotek publicznych uważamy bowiem w dalszym ciągu za dalece niewystarczającą. W porównaniu z Łodzią z Bałutami jesteśmy pod tym względem upośledzeni (na Bałutach działa 25 bibliotek publicznych, u nas zaledwie 15). Rozszerzenie sieci księżnic jest naszą stałą troską, staramy się systematycznie odrabiać zaległości. Robimy na tym odcinku rzeczywiście sporo, otwieramy nowe pawilony biblioteczne w osiedlach mieszkaniowych, zabiegamy o lokale na wypożyczalnie książek. Zdecydowaliśmy, że aktualnie remontowany zabytkowy dworek modrzewiowy na Chojnach pomieści dobrze wyposażoną bibliotekę. Będzie tam zresztą, jak się wydaje, dość miejsca na zorganizowanie bogatych form działalności kulturalno-oświatowej.

Istotny element życia kulturalnego dzielnicy odgrywa niewątpliwie sprawa rekreacji, organizacji wypoczynku, organizacji czasu wolnego od pracy. Mamy tu do odnotowania szereg istotnych osiągnięć, choć nadal w tym zakresie występuje jeszcze wiele braków. Do sukcesów należy na pewno zagospodarowanie parku im. I Maja, tzw. Stawów Jana, Młynka. Jednocześnie trwają intensywne prace przy porządkowaniu Górki Rudzkiej, która w przyszłości stanie się wspólnym obiektem sportów zimowych. Projektujemy tam urządzenie nawet skoczni narciarskiej, obiekt będzie więc niewątpliwie służył całej Łodzi.

Wiele z tych inwestycji rekreacyjnych realizowanych jest przy wydatnym poparciu mieszkańców dzielnicy w ramach czynów społecznych. Szczególnie w ostatnim, przedzjazdowym okresie mamy do czynienia ze szczególnym wywołaniem inicjatywy społecznej. Dość powiedzieć, że czynny społeczny i produkcyjny na cześć V Zjazdu partii przekroczyli w skali dzielnicy wartość 100 mln złotych. Wierzymy, że ta społeczna aktywność cechująca wszystkich mieszkańców, bo przecież zobowiązania podejmują nie tylko członkowie partii, stanie się trwałym elementem życia naszej rozwijającej się dzielnicy.

Czynny społeczny dały zresztą Górnej wiele ważnych obiektów wśród nich stadion Chojńskiego Klubu Sportowego wartości 10 mln złotych. Ten młody klub zdobył sobie wielu kibiców i kwitnie w nim bujne życie sportowe.

Alle mimo nowych inwestycji sportowych daleko jeszcze do pełnego zaspokojenia potrzeb dzielnicy w tej dziedzinie. Nie ma na przykład na terenie Górnej ani jednego basenu kąpielowego, choćby odkrytego, a przecież marzeniem naszych działaczy sportowych jest basen kryty, czynny przez cały rok.

Sporo do zyczenia przedstawia też sytuacja w dziedzinie kin. Istniejąca u nas sieć uważamy za niedostateczną. Dotyczy to nasycenia kinami poszczególnych rejonów dzielnicy jak też wyposażenia kin w nowoczesną aparaturę. Sytuacja zmieni się odrobinę na lepsze z chwilą wybudowania nowoczesnego kina w rejonie placu Niepodległości, nie nastąpi to jednak prawdopodobnie zbyt szybko. Pałace są też potrzebne kulturale nowych osiedli mieszkaniowych, niedostatecznie wyposażonych w obiekty kulturalno-oświatowe.

A jednak, pomimo braków, o których wspomnieliśmy pozytywnie trzeba ocenić rozwój bazy i życia kulturalnego dzielnicy w okresie pomiędzy zjazdami. Najbardziej uchwytne przemiany dotyczą oczywiście nowych inwestycji kulturalno-oświatowych, których powstało bardzo wiele. Ale również istotny jest wzrost poziomu ideowego pracowników kultury i oświaty, aparatu kulturalno-oświatowego w całości zresztą, nie tylko członków partii. W środowisku tym przebiegała bardzo żywo dyskusja nad temi zjazdowymi. Mamy do odnotowania znaczne ożywienie polityczne pracowników szkolnictwa, 700 nauczycieli jest członkami partii. Klade się silniejszy niż dotąd akcent na problematykę wychowawczą i ideową. Ożywienie to jest spontaniczne, szczerze i to oznacza, że prawidłowo realizowaliśmy uchwały ostatniego IV Zjazdu. Idziemy więc na V Zjazd partii z przekonaniem dobrze spełnionego obowiązku.

POLESIE

**STANISŁAW
NOWAK**
I sekretarz
KD PZPR



Ożywienie polityczne, jakie stało się faktem w naszym kraju, nie ominęło rzecz prosta Łodzi ani dzielnicy poleskiej. Wzrost aktywności i rozwój szeregowych poleskiej organizacji partyjnej obserwujemy nie tylko w wielkich zakładach. Proces ten jest wyraźny również w małych organizacjach — w spółdzielczości, poligrafii, handlu, oświacie... Proces ten obejmuje całą

dzielnice dlatego też od IV Zjazdu organizacja poleska wzrosła z 12.647 członków do 17.167 członków tj. o 4.500 osób.

W tezach na V Zjazd czytamy, że w okresie ubiegłych 4 lat partia realizując generalną linię ustaloną przez IV Zjazd, zapewniała dalszy wszechstronny rozwój kraju oraz umocnienie jego bezpieczeństwa i porządku międzynarodowej. W okresie między

Zjazdami osiągnęliśmy znaczny rozwój naszej gospodarki, w wielu wypadkach znacznie przekraczając przyjęte przez IV Zjazd zadania.

Do tego ogólnego dorobku, swoją czastkę, jako efekt wysiłku i społecznego, obywatelskiego zaangażowania dołożyła klasa robotnicza i pracująca część społeczeństwa naszej dzielnicy. Na osiągnięty wzrost produkcji i wydajności duży wpływ wywarły poniesione nakłady inwestycyjne i środki na finansowanie postępu techniczno-organizacyjnego.

Nie są to sumy małe — dość powiedzieć, że tylko bieżący rok zamyka się sumą na inwestycje siecjalca 245 mln zł. W tym samym roku suma przeznaczona na rozwój postępu technicznego wyniosła 61 mln zł.

Między innymi przewidziano na duże inwestycje w przemyśle włókienniczym i chemicznym oraz w poligraficznym. W tym ostatnim wyznaku chodzi o rozbudowę zakładów RSW „Prasa”, i Łódzkiej Drukarni Akcydensowej.

Alle perspektywy rozwoju dzielnicy to nie tylko prze-

mysl. Nie mieliśmy fałk dotąd na Polesiu dużego budownictwa mieszkaniowego — i oto nadchodzi czas zasadniczej przemiany. W najbliższym planie 5-letnim zakłada się rozpoczęcie budowy dwu nowych osiedli w rejonie Dworca Kaliskiego i na Retkini. Pierwsze z nich mieć będzie ponad 2 tys. izb — zaprojektowane zostało wyso kościowo z własnym centrum handlowo-usługowym plus hotel, dom towarowy, restauracje i kawiarnie.

Drugie osiedle na Retkini, to całkiem nowe miasto na Polesiu. Przewidujemy, że zamieszka tam około 100 tys. osób. Oczywiście rozbudowa Retkini przebiegać będzie etapami, a obiekty mieszkalne oddawane będą kompleksowo łącznie z obiektami usługowo-handlowymi. Jak więc widać, perspektywy rozwoju są bardzo poważne. Z czasem dzielnica Polesie stanie się jednym z głównych poligonów budowlanych Łodzi.

Wiadomo też o planach rozbudowy i modernizacji Dworca Kaliskiego. Dworzec ten oraz jego otoczenie zmienia zasadniczo swój wygląd, —

zmieni swój charakter układ komunikacyjny w tym rejonie, przebuduje się wiele ulic, powstaną nowe wiadukty.

Jeśli już mowa o inwestycjach ogólnospołecznych, to warto też wspomnieć o budowie dużej placówki służby zdrowia dla potrzeb mieszkańców dzielnicy; zbudujemy też nowa szkołę podstawowa, dwa internaty oraz rozbudujemy się Szpital im. Madurowicza.

Nie sposób także pominąć sprawy Parku Ludowego na Zdrowiu — sprawy, która wszystkich mieszkańców Łodzi interesuje. Otóż już w roku 1969 przystąpi się do urządzania na tym ogromnym zielonym terenie centrum wypoczynku i rozrywki mieszkańców Łodzi. Powstanie tu wesołe miasteczko, zespół kąpieliskowy, tereny zabaw dla dzieci, urządzenia sportowe — szereg placówek gastronomiczno-usługowych itp.

Obok tych wszystkich inwestycji głównym terenem rozbudowy przemysłowej Polesia będzie rejon Nowych Sądów. Budowę rozpoczęto już w bieżącej pięciolat

ce — wyrosły tu nowe hale i obiekty Łódzkiej Zakładów Remontu Maszyn Elektrycznych, Zakładów Mlecznych, „Olimpii”, przetwórci garmażeryjnej... Następny teren rozbudowy Polesia, to rejon Smulsko-Srebrna, gdzie na początek powstanie w nowej pięciolatce potężna fabryka domów mieszkalnych.

Z wyżej opisanych perspektyw rozwojowych Polesia, wynika jasno zadania dla dzielnicowej organizacji partyjnej. W powszechnym poparciu takiego udziału politycznej partii jej członkowie i bezpartyjni znajdują wyraz przemiany w świadomości społecznej — na korzyść socjalizmu.

Stanowi to najlepsza gwarancja pomysłowej realizacji zadań jakie postawi przed nami V Zjazd partii. Zmiany w świadomości społecznej dokonują się jednak w nieprzerwanej walce z wplywem zwłaszcza zewnętrznych sił kapitalizmu ze stara reakcyjną ideologią. Dlatego walka ideologiczna jest w obecnych warunkach niezmiernie doniosła płaszczyzna walki klasowej — i o tym nie wolno zapominać.

ce — wyrosły tu nowe hale i obiekty Łódzkiej Zakładów Remontu Maszyn Elektrycznych, Zakładów Mlecznych, „Olimpii”, przetwórci garmażeryjnej... Następny teren rozbudowy Polesia, to rejon Smulsko-Srebrna, gdzie na początek powstanie w nowej pięciolatce potężna fabryka domów mieszkalnych.

Z wyżej opisanych perspektyw rozwojowych Polesia, wynika jasno zadania dla dzielnicowej organizacji partyjnej. W powszechnym poparciu takiego udziału politycznej partii jej członkowie i bezpartyjni znajdują wyraz przemiany w świadomości społecznej — na korzyść socjalizmu.

Stanowi to najlepsza gwarancja pomysłowej realizacji zadań jakie postawi przed nami V Zjazd partii. Zmiany w świadomości społecznej dokonują się jednak w nieprzerwanej walce z wplywem zwłaszcza zewnętrznych sił kapitalizmu ze stara reakcyjną ideologią. Dlatego walka ideologiczna jest w obecnych warunkach niezmiernie doniosła płaszczyzna walki klasowej — i o tym nie wolno zapominać.

Języki obce na manewrach

Po raz dwunasty odbyły się coroczne „manewry języków obcych”. Piszemy „manewry”, a więc próba bojowa na niby, stworzenie warunków przybliżonych do rzeczywistości, nie zaś rzeczywistych, jakimi byłyby wyjazdy za granicę. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyzszego nie jest bowiem w stanie wysłać wszystkich studentów i lektorów neofilologii do obcych krajów gdzie, jak wiadomo, istnieją najlepsze warunki zweryfikowania i doskonalenia umiejętności językowych. Dlatego Ministerstwo zaprasza do Polski zagranicznych wykładowców i studentów lat starszych (tzw. mentorów), których zadaniem jest przybliżenie do naszych studentów języków i krajów, które reprezentują.

Tegoroczny kurs letni języka angielskiego odbył się w Poznaniu, natomiast rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego ponownie w Krakowie. Kierownikiem naukowym wszystkich czterech języków był znany w świecie językoznawców, polski uczyony, twórca i zarliwy propagator praktyk obcojęzycznych w kraju, prof. dr Ludwik Zabrocki, zaś koordynatorem kursów w Krakowie uczeń prof. Zabrockiego i kierownik Katedry Filologii Germańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, doc. dr Aleksander Szulc.

Z praktyk letnich korzystali w roku bieżącym studenci drugiego roku studiów — także lat starszych, którzy z usprawiedliwionych powodów nie mieli jeszcze zaliczonej praktyki — ze wszystkich polskich katedr neofilologicznych oraz lektorzy; w sumie ponad tysiąc sto osób łącznie z polskim personelem kierowniczym naukowym i administracyjnym. Zagranicę reprezentowało stu wykładowców i mentorów z ZSRR, NRD, Francji, Anglii i USA.

Program kursu przewidywał: podniesienie poziomu praktycznej znajomości języka obcego; pogłębienie wiadomości o zjawiskach życia codziennego i jego odbicie w systemie leksykalnym; rozszerzenie orientacji w zakresie aktualnych problemów kulturalnych i społecznych (teatr, film, telewizja, muzyka, literatura); zagadnienia dotyczące metodyki mechanicznego i programowanego nauczania; wyświetlanie filmów długo- i krótkometrażowych w wersji oryginalnej; prezentacje płyt z nagraniami współczesnej muzyki i tekstami sztuk dramatycznych; czytanie wybranej lektury i dyskusje w oparciu o tę lekturę; ćwicze-

nia leksykalne, jak również ćwiczenia z zakresu fonetyki kontrastywnej.

Program realizowany był w czasie codziennych 4 do 5 godzin trwających zajęć audytorialnych i laboratoryjnych z wykładowcami.

Wspólne wycieczki, zwiedzanie miast, wieworki towarzyskie i taneczne, spotkania ze współczesną piosenką, wystawianie fragmentów sztuk teatralnych w języku ich twórców, rozmowy z przedstawicielami obcych ambasad akredytowanych w Warszawie stwarzały dodatkowe warunki, które sprzyjały pogłębieniu praktycznej znajomości języka obcego i nawiązaniu osobistych kontaktów.

Obraz praktyk wakacyjnych byłby oczywiście niepełny, gdybyśmy pominieli milczeniem bazę materialną kursów. Nie wszystkie ośrodki uniwersyteckie w kraju byłyby w stanie zorganizować tego rodzaju poważną imprezę. Dlatego z wyjątkowym uznaniem należy powitać pełne zrozumienie władz Uniwersytetu Jagiellońskiego dla tej sprawy, głównie w osobach rektorów, prof. dr Mieczysława Klimaszewskiego i prof. dr Mieczysława Karasia, którzy hojną ręką oddali do dyspozycji kursów najnowocześniejsze hotele studentów, wzorowo wyposażone sale wykładowe, ze smakiem urządzone pomieszczenia klubowe i najbardziej współczesne laboratoria.

* * *

Doświadczenia dwunastu lat zachęcają i zarazem upoważniają do podjęcia próby nakreślenia chociaż podstawowych postulatów na przyszłość, aby praktyki letnie osiągnęły jeszcze bardziej proporcjonalne rezultaty w stosunku do zadań i wysiłków personelu kierowniczego.

Wydaje się, że rok ubiegły i bieżący należałoby uznać za lata przełomowe. Jeszcze bowiem nigdy nie przeżywały kursy takiej masowości, co pociąga za sobą bardziej złożoną problematykę. Fakt ten alarmuje o gruntowne przemyślenie sprawy. Stare zasady powinny ulec radykalnej zmianie, jeżeli nie chce się skazać słusznych zamierzeń na powolne obumieranie dotychczasowej prężności.

Przed wszystkim wyłania się nieodzowna konieczność powołania stałej instytucji, która zajmowałaby się przez cały rok organizacją kur-

sów letnich zarówno od strony administracyjnej, jak i naukowo-dydaktycznej. Dotychczasowy zwyczaj powoływania tak ogromnej imprezy w krótkim czasie, a która również błyskawicznie znika bez śladu po niecałym miesiącu, nie może być uznany za słuszny, jeżeli nie umkną uwadze tendencje stale rozrastającej się liczby uczestników kursu zobowiązanych programowo do zaliczenia praktyk letnich. Przy małej liczbie studentów łatwiej było realizować zadania nawet w systemie doraźnego powoływania kursów. Jednakże to, co było wystarczająco dobre wczoraj, zmusza dziś często do podejmowania decyzji na zasadzie improwizacji.

Druga sprawa dotyczy składu osobowego grup zagranicznych. Chodzi o to, aby miały one charakter stały, tak jak to się już obecnie dzieje z personelem przyjeżdżającym z NRD. Łatwiej jest współpracować z ludźmi, którzy poznali już specyfikę zadań. Przy czym należałoby uwzględnić zasadę składu: mniej wykładowców, natomiast więcej lektorów i jak najwięcej mentorów (tych ostatnich — przynajmniej jeden na dziesięciu studentów). Osoby te powinny cieszyć się dobrym zdrowiem, aby nie zachodziła konieczność przekształcania pobytu w Polsce na zagraniczny i w dodatku płatny urlop leczniczo-wypoczynkowy.

Ostatnią sprawą, którą pragnę zasygnalizować i która powinna ulec zmianie, jest skład polskich uczestników kursów letnich. Należałoby ograniczyć się tylko do studentów, a lektorów pominać. Ci ostatni są głównie nastawieni, i to w zupełności słusznie, nie na opanowanie języka, który przecież i tak znają, lecz przede wszystkim na wysłuchanie konstruktywnych wykładów i prowadzenie dyskusji wokół tematyki dotyczącej najnowszych osiągnięć metodyki nauczania języków obcych ze specjalnym uwzględnieniem wyników w zakresie teoretycznego i stosowanego językoznawstwa. Problemy te, ze zrozumiałych względów, mniej interesują studentów, zwłaszcza lat młodszych, a przecież tylko tych obowiązują praktyki letnie. Ograniczenie kursów wyłącznie do zespołu studenckiego pozwoliłoby na większe ujednoczenie programu, przez co zyskałby na ostrości profilu; pozwoliłoby na rozbudowanie ilości ćwiczeń praktycznych z jednoczesnym wprowadzeniem zajęć o problematyce wychowawczej.

Lektorzy zaś odnieśliby znacznie większe korzyści uczestnicząc w kursach krajowych dla nauczycieli języków obcych szkół średnich, gdzie problematyka rozważań są własne sprawy interesujące lektorów. Sądzę należy, że obecnie po połączeniu resortów szkolnictwa średniego i wyższego w jedno ministerstwo, omawiane przesunięcie nie powinno napotkać na przeszkody natury organizacyjnej.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

Kości wyorane — to kościoty z ludzi

To kapłacie placu z chłodną kulą śmierci

Ziemia jest ołtarzem

A my odprawiamy wieczne nabożeństwo.

Krew jeszcze wysycha na betonie słońca

W kłosach jeszcze leżą wąskie ziarna grobów

Owoc jest cmentarzem

A człowiek z głową odkrytą czeka na urodzaj.

Matkę tutaj do ziemi przygięto to wody zbieleły

Ojca tutaj biczowano pod murem aż poczerńiał kamień

Siostram tutaj obcięto piersi i rzucono w błachy.

Jakie modlitwy odmówić

Żeby pług nie kaleczył zbutwiałego placu?

OBRUS

Wtedy matka wyjęła obrus i szła do stołu

Bo gaś ogień

Czerwone koszary jak czaszka wyjęta z grobu

Na brzegu chłopięcego spojrzenia które jak kwiat wykwitło

Magazyny pełne cukru

Przez środek strumyk krwi

Masło w beczkach

Przewody elektryczne zestrzelone z porcelanowych główek

Mężczyzna dźwiga trumnę z Magazynu Przesyłkowego

Kobieta niesie krzesło

Biegnie do swego domu przez szkło

Dymy zbierają się w kule

Gwiazdy z lodu świecą pod gwóźdźkami

Pieśń łamie się jak zamrażająca galazka

W dzień niektóre dymy jak czolgi wjeżdżają w błękit

Ale już gdzieś widać niebo

I kawałki słońca

ZYGMUNT FIJAS

POCHWAŁA Ernesta Hemingwaya

Wydrukowałem ongi w „Szpilkach” żarto bliwy felieton pod tytułem „Niech żyją bicepsy Hemingwaya!”. Jeszcze wtedy Hemingway nie był w naszym kraju w takim powszechnym poważaniu jak później. Nawet spora liczba naszych pisarzy nie przyznawała się do tego, iż niektórych amerykańskich autorów ma w dużej cenie. Albowiem utarło się mniemanie, że ci autorzy podchodzą do twórczości behawiorystycznie, a behawioryzm, podobnie jak nazwisko biologa Morgana, Malthus, Szostakowicza, Prokofiewa, i tak zwana genetyka formalna były tabu. Tylko Lysenko, Dymitr Kabalewski nie byli tabu. Przedłożyłem ten felieton pani redaktor jednego z wydawnictw. Nie spodobał się jej twór. Napisała na marginesie: „Niesmaczne”.

Dokonałem więc retuszu. Przeczytała felieton ponownie. I znowu napisała: „Mimo

wszystko, niesmaczne”. I nie przyjęła pracy do zbioru.

„Niesmaczne” napisała, jakby próbowała wartości utworów językiem.

Ośmieliłem się przedstawić ten felieton innej pani redaktor. Zgodziła się przepuścić go w niniejszym cyklu.

Oto on, ten felieton, nastrojony na taki ton:

„Szydercze spojrzenia, padające na nasze plegi, pała nam twarz jak rozpalone bicze. Niewybredne drwinki, bzykające wokół naszych kłapciatych uszu, wylentliwych rąk, słabych oczu lub sztucznych zębów pała nasze oblicza jak koszuła Dejaniry — w wypadku gdyby tę część spodniej garderoby nosić na twarzy. Ubytki włosów na naszych głowach, szczerbate zęby, protezy zębów, okulary, różne fafle dojrzałego wieku i kurczaki są dla nas sygnałami ludzkiego kalectwa. A co za tym idzie, są źródłem śmiechu i prostackich szyderstw.

Kiedyś jeden z naszych łysych i krótkowzrocznych poetów, uprawiający z powodzeniem coś w rodzaju wierszowanej hełtrystyki dla drobiu, na widok klusek w zu pie szczawiowej, czego namiętnie nie nosił, wrzucił się tak potężnie, jak wrzucano się chyba tylko w czasach romantycznych w dobie powstawania Wielkich Improwizacji. Cała jadalnia wówczas poruszyła się, mnóstwo nakryć stołowych zsunęło się na podłogę, w kuchni dwie kucharki oblały sobie pantofle wrzątkiem, ja sam omal się nie udławilem udkiem kurczęcia...

Chyba już nigdy w dziejach nie wypowie się tylu płomiennych słów przeciwko gastro nomii uspołecznionej, jej zestawom smakowym, co wtedy, w tej garkuchni literackiej przy ulicy Traugutta w Łodzi.

Niebawem dyskusja o zupie szczawiowej przemieniła się w gwałtowną demonstrację i przybrała rozmiary kameralnego referendium. Kilkanaście osób zdradziło ochotę wpisania się do książki zażalen, kilka po-

wskakiwało na stolki, żeby wygłosić pełne nienawiści przemówienie przeciwko tym kluskom w szczawiowej.

Kilka dni później pokazywano sobie w redakcji pewnego poczytnego literackiego pisma fotografię Hemingwaya, wówczas jeszcze nie będącego autorem opowiadania „Stary człowiek i morze”, a więc nie nagrodzonego jeszcze nagrodą Nobla. Trzeba było wtedy zobaczyć to zdjęcie, żeby mieć należycie pojęcie o tym pisarzu, bokserze, rybolowcy, myśliwym i alkoholiku. Na głowie tego amerykańskiego Hamleta, nie zszpeczonej okularami, widoczna była obfita, krzaczasta czupryna. Bujne, krzaczaste owłosienie wy-rastało mu triumfalnie także spod pach. Pód jego szczękami, rozrośniętymi władczymi jak u człowieka pierwotnego, widniała pojemna, tłusta gardziel. Pod gardzielią królowała wlo-chata, szeroka pierś, na której z powodzeniem można by zainstalować prowizoryczny warsztat do tłuczenia kamieni. Dłonie Hemingwaya były obute w rękawice bokser-skie tej wielkości, jaka jest nieodzowna przy bokswaniu stoni. Świadczące o krzepie fizycznej pisarza, nabite mięsiami uda były objęte spodenkami kąpielowymi, nieco za szerokimi i jakby na wyrost.

Widziało się na tej fotografii, że ten amerykański wysportowany Herkules a zarazem hiszpański Spartakus, to nie żadne tam jakieś nasze przeneurastenizowane chuchro, pomiotło literackie o ustach cienkich jak dwie kartki kancelaryjnego papieru, skarzające się na wąty pęcherz lub robaczywą watrobę, nie żaden tam kulawoocany James Joyce, binoklooki Sienkiewicz, czy cieniaki jak pająk Tomasz Mann, ale że jest to prawdziwy AMERYKANIN, co umie chwycić wydawcę za kark, dać mu tegiego kopa. I to tam, gdzie należy. Albo trzasnąć go po męsku w głupią, emokierską japo.

O, na tym zdjęciu widziało się, że to TWÓRCA pisany przez dużą literę, co nie tylko potrafi wyciągnąć jedną ręką rekina

z głębiny morskiej, ale zastrzeżone także tapira w biegu, bez pomocy binokli; jednego dnia polować na słońce w Kenii, drugiego — łowić ryby w Zatoce Meksykańskiej, trzeciego — napisać reportaż z walki byków za trzydzieści dwa tysiące dolarów — i równocześnie wypijać bez szkody dla swego zdrowia galon whisky lub „Pernaud” i zjadać fajecznicę klubową ze stuśdziesiątciu jaj lub wiadro zupy szczawiowej z kluskami.

Wtedy to pomyślałem, że ten PISARZ potrafi powiedzieć na całą szerokość historii „Helou!”, zaś kartki podręcznika do nauczania literatury zajęte przez tego osiłka, to nie jakaś tam byle grzesznościowa wzmianka, pisana wstydliwym, kobiecym maczkiem „perlem”, ale ROZDZIAŁ, drukowany tego wołowa kursywa. Słowem, że Hemingway to nie mobislycznia, kabotyńska Europa, ale pełna zdrowego rozmachu AMERYKA!

I wtedy to patrząc na to osobliwe zdjęcie i umyśliwszy napisać o Hemingwayu felieton pod tytułem „Niech żyją bicepsy Hemingwaya”, do „Szpilek”. Jak już wspominałem, postanowiłem przeczytać wszystkie książki tego pisarza.

I do tej pory, podobnie jak ci, co chwala tego twórcę, nie przeczytałem ani jednej jego książki, nie nie przeczytałem tego autora.

Do niedawna nawet myślałem, że ów Hemingway jeszcze żyje. Zasmuciłem się, kiedy mi powiedziano w tramwaju, że się zastrzelił. Szkoda. Wielka szkoda. Coraz mniej jest tegich pisarzy na świecie. Za to coraz więcej jest, nie mających pojęcia o literaturze i jej finezjach, redaktorów w wydawnictwach.

(Z przygotowanego dla Wydawnictwa Łódzkiego zbioru felietonów satyrycznych, wierszydeł, aforyzmów i humoresek, którego tytułu ze względu na bezpieczeństwo osobiste na razie podać nie mogę. — Uwaga autora).

Rozmowa
z Marianem
Piechałem



Marian Piechal, prezes Łódzkiego Oddziału ZLP, zastępca red. nac. mies. „Poezja”, laureat tegorocznej nagrody państwowej za całokształt twórczości literackiej.

Fot. L. Olejniczak

Poezji
dzień
dzisiejszy

„ODGŁOSY”: Chcemy pomówić z Panem o poezji, zwłaszcza tej najnowszej, co do której istnieje tyle nieufności w pewnych kręgach odbiorców. Zdażemy sobie sprawę z rozległości tematu, ale wydaje się, że choćby zasygnalizowanie niektórych problemów może się przyczynić do rozwiania tej nieufności, a tym samym rozszerzyć zasięg oddziaływania poezji. I zagniemy może od takiej sprawy: jak Pan ocenia współczesny ruch poetycki w Polsce?

MARIAN PIECHAL: Zanim się przejdzie do ocen trzeba przede wszystkim skonstatować, że mamy w sztuce, a zwłaszcza w poezji okres wielkiego fermentu. Jest to zjawisko zdrowe, choć ma oczywiście i niekorzystne strony. Nie da się ich całkowicie wyeliminować, gdyż ferment zawsze z sobą przynosi wiele rzeczy wątpliwych, niejako produktów ubocznych, ale jednocześnie poprzez dokonania wartościowe, równie przecież liczące, uzasadnia nadzieję, że rodzi się coś jakościowo nowego. Dlatego też nie ma i chyba nie będzie powrotu do starych pojęć o poezji, które kształtował Romantyzm, Młoda Polska, Skamander i Futuryzm.

Powiedzmy sobie od razu, że ten nowy ruch poetycki ma swoje głębokie przyczyny społeczne i ideowe. Nie można go też oddzielić od tego, co dzieje się w całej sztuce, a sięga korzeniami Rewolucji Październikowej. To właśnie Październik był tą iskrą, która spowodowała nową rodzajowo artystyczną eksplozję. Radykalnie przemiany w sztuce są zawsze pogłoskiem przemówów społeczno-politycznych, ale są jednocześnie ich potwierdzeniem.

„ODGŁOSY”: Z tego, co Pan powiedział o obiektywnych przyczynach przemian w poezji, samo narzuca się kolejne pytanie: jaka rola w rozwoju ntu tego nowego ruchu przypada, lub też przypadać powinna, młodym?

MARIAN PIECHAL: Myślę, że mogą to powiedzieć wyłącznie, z najgłębszym przekonaniem: stan poezji w naszym kraju zależy od młodych. Za leży choćby dlatego, że właśnie oni są najbardziej otwarci na wien, najbardziej podatni na to bodźce, które określają nową sytuację ideowo-artystyczną. Twórcy starsi także nie są na nie obojętni, ale jako artyści bardziej zasiedziali w swoich praktykach poetyckich, rzadko tylko mogą się zdobyć na sformułowanie tego, co dyktuje tuje podskórny, ledwie uchwytny klimat epoki. Młodzi więc i jak się zdaje tylko młodzi, zdecydują ostatecznie o ideowym i artystycznym wyrazie nowej poezji.

„ODGŁOSY”: Przypuszczając młodym tak zasadniczą rolę musi się Pan jednak zgodzić, że na razie są oni nazbyt minimalistyczni czy wręcz mało zdobywczy. Może wynika to ze zbyt wielkiej atomizacji ruchu poetyckiego wśród młodych, nie mamy przecież wśród nich do czynienia właściwie z ani jedną autentyczną grupą artystyczną. Rzecz jasna manifesty poetyckie nie zastąpią utworów, ale wnoszą oczywiście do literatury a często w historii inspirowały nowe poszukiwania.

MARIAN PIECHAL: Mam w tej sprawie dość określony pogląd, o czym zaraz powiem, choć jednak od razu określić, że moim zdaniem okres fermentu, przewartościowania, nie sprzyja powstawaniu grup. Grupy były modne, były wprost obowiązującą regułą w okresie przedrewolucyjnym i opierały się na ideologii pozartystycznej. Grupy zaś czysto artystyczne, jak choćby awangarda Peiperowska, szybko się rozpadały, gdyż nie miały wspólnej platformy politycznej. Trudno sobie zresztą wyobrazić reprezentowanie jednej i tej samej postawy artystycznej w wypadku prawdziwych twórczych indywidualności, a bez nich sztuka nie jest sztuką tylko sztukateria. Sztuka bowiem, a już szczególnie poezja, jest tą dziedziną działalności ludzkiej, gdzie twórca realizuje wszystko na własny rachunek. W grupie, owszem, można re-

prezentować wspólne idee, wspólną ideologię. Nie można jednak i nie wolno kultywować wspólnego artystycznego wyrazu.

Takie są ogólne przesłanki funkcjonowania grup i kiedy je odniesiemy do tego, co dziś mamy w Polsce, to trzeba przede wszystkim stwierdzić, że młodzi nasz poeci stoją na gruncie demokracji ludowej. Ta wspólna platforma ideowa jest szeroka, na tyle szeroka, że wypada już mówić nie o grupie, ale o całym zastępie poetów. Czy w tej sytuacji ma w ogóle sens tworzenie grup artystycznych? Chyba nie. A że grupy takie powstawały i pewnie jeszcze będą powstawały? Młodzi nie zawsze mogą sobie uświadomić, jakie racje uzasadniają byt takiej organizacji. Im przedziej członkowie takiej grupy dojrzejwią, tym bliższy jej koniec. Czasem oznacza to narodziny autentycznych indywidualności poetyckich.

„ODGŁOSY”: Zgodzi się Pan jednak, że zawsze istnieje potrzeba autentycznej dyskusji, sporów artystycznych. Gdzież ci młodzi mogą je przeprowadzać? Krótko mówiąc, jak ocenia Pan rolę prasy literackiej i jaki ma ona wpływ na kształtowanie się indywidualnych postaw artystycznych?

MARIAN PIECHAL: Być może właściwym miejscem do dyskusji jest właśnie prasa literacka. Mówię: być może, gdyż z czasem wytworzą się coś, co się nazywa potocznie po prostu kliką. Krag współpracowników jest zamknięty, nie dopuszcza się nowych ludzi, jeden drugiemu basuje. Ale tym tendencjom należy zdecydowanie przeciwdziałać. Nie dlatego zresztą, abym wierzył, że redakcje czasopism mogą wziąć na siebie ciężar sporów artystycznych. Bo dyskusje istotne toczą się zawsze między artystycznymi indywidualnościami. Przypomnijmy zresztą z historii naszej literatury choćby spór Mickiewicz - Słowacki. To były przecież spory indywidualne. Bo w poezji, gdy idzie o środki wyrazu, nie można się przecież bić o zbiorowe zdobyce.

„ODGŁOSY”: Pozwól Pan, że na chwilę odejdziemy od zasadniczego tematu rozmowy. Proszę nam zatem powiedzieć: jak Pan pojmuję rolę poezji?

MARIAN PIECHAL: Myślę,

że każdy artysta ma tutaj inną odpowiedź. Ja stwierdzę bez wahania: uważam poezję za najbardziej istotne, inspirujące źródło humanizmu. Wyrażam się, mam nadzieję, na tyle jasno, że poglądy moje nie wymagają rozwinięcia. Spróbuję jednak spręcznie wyrazić się jeszcze wyraźniej.

W naszym wieku, wieku dwudziestym, twory działalności ludzkiej są tak zobiektywizowane, że odrywają się od człowieka, a człowiek związany z nimi odrywa się od innych ludzi. I nie zresztą dziwnego. Konstruktor dostosowuje się tylko do praw, które dyktuje materia. Z chłodną, obojętną kalkulacją. W ten sposób powstaje szczególnie drażliwy w naszych czasach problem alienacji.

Inaczej postępuje poeta. Twór jego inspiracji, dzieło artystyczne, ale oddziela go od ludzi, lecz go z nimi łączy. Im doskonalsze dzieło, tym mocniej i trwałej. W ten sposób poeta humanizuje każdy element zewnętrznego świata, całe swoje otoczenie. Cywilizacja pozabawiona poezji byłaby nieludzka. Sztukę tworzy tylko człowiek i tylko dla ludzi według praw wewnętrznie ludzkich, a nie obiektywnie pozaludzkich, jak to się dzieje na przykład w dziedzinie nauk, stąd tak wysoka ranga artystów.

„ODGŁOSY”: Powróćmy więc do naszego zasadniczego tematu. Słyszysz się zewsząd głosy o tak zwanej sztuce zaangażowanej. Krytycy często stawiają młodym poetom zarzut niez zaangażowania. Proszę nam powiedzieć: jak Pan pojmuje zaangażowanie? I co oznacza zaangażowanie w poezji?

MARIAN PIECHAL: W okresie rozbiorów i okupacji poeci walczyli piórem, a często z bronią w ręku, o niepodległość narodu. Przypominam to, aby uprzytomnić zwłaszcza ludziom młodym, że zaangażowanie ma u nas długą, ciągłą i wspólną tradycję. Poem na progu niepodległości Polski, poeci Skamandra ogłosili, że zrzucają z siebie piasek Konrada. To prawda, Mickiewiczowski Konrad to już kategoria tylko historyczna. Ale przecież w normalnych warunkach, w warunkach nie podległego bytu państwowego ojczyzny, poeta ma wobec niej również poważne obowiązki. Jest przecież obywatelem i z tej obywatelskiej

postawy czerpie treść do swoich utworów. Bo przecież czerpie się z życia, a nie z doktryn i teorii artystycznych. Artyzm jest czymś służebnym w stosunku do człowieka.

W naszej dotychczasowej tradycji większość postępowych postaw artystycznych polegała na sprzeciwie. Teraz sytuacja społeczna się zmieniła. Takie pojęcia jak wyzysk, ucisk, czyżwda wykreśliłyśmy z naszej rzeczywistości, dokonała tego rewolucja. Myślę, że dziś zaangażowanie polega na afirmowaniu rzeczywistości. Kształtowanej przez zwycięski świat pracy w ideowym zespoleniu rąk i umysłów, bunt zaś w naszych warunkach jest kategorią młodzieńczości pozbawiona społecznych uzasadnień.

„ODGŁOSY”: Należy Pan do kierownictwa miesięcznika „Poezja”. Proszę powiedzieć, jak Pan ocenia to wyspecjalizowane, a przecież nie specjalistyczne czasopismo?

MARIAN PIECHAL: Zaczęną może od tego: „Poezja” ma wysoki, sosenkowo bardzo wysoki nakład. Zdziwiło mnie to nawet, a zarazem ucieszyło, bo jest świadectwem autentycznego zapotrzebowania na poezję. I tu muszę powiedzieć tak: kiedyś czytelnik doświadczył i bardziej elitarny odbierał poezję bez zastrzeżeń, dziś smak zbiorowy odbiorców często nie nadąża za nowymi próbami poetyckimi. Czytelnicy zgłaszają szereg sprzeciwów, zastrzeżeń, ale nie przekreślają sensu samej poezji, nawet tej najbardziej eksperymentalnej. Sankcja na poetów, ale ich czytają. To dobra prognoza. Zresztą ciężar tradycji zawsze bardziej przylaczał czytelników niż twórców.

Redagowanie pisma pozwala mi także wnikać w niektóre sprawy poetów. Mówiliśmy tu wiele o młodych, zdaje się, chwaliłem ich. Chciałbym jednak niektórym z nich postawić także zarzut, a mianowicie zarzut zbyt wczesnej profesjonalizacji. A przecież uprawianie poezji, pisanie wierszy nie jest zawodem. Tytuł poety to tytuł powołania i służby, najwyższym ideałem ludzkości, takim jak dobro, sprawiedliwość, miłość człowieka do człowieka, a to nie mieści się w wąskich ramach zawodu. Profesjonalizacja odcina młodzież poetycką od jedynego, inspirującego źródła poezji: od życia aktualnego, od ludzi pracy. To jest przyczyna częstej ich dewiacji społecznej, przedwczesnego wyjąłowienia, nieraz tragedii osobistej. Zawiniła tu nieco nasza niedawna polityka kulturalna, fałszywie praktykowany protekcjonizm.

„ODGŁOSY”: Pozwoli Pan, że na zakończenie naszej tak interesującej rozmowy zapytamy Pana o Pańskie osobiste plany pisarskie, o realizację i zamiary?

MARIAN PIECHAL: Wyjdzie wkrótce tom wierszy „Być” i przygotowuję z drukowanych tu i ówdzie utworów tom nasiepny. Mam też szereg innych pomysłów, ale pomysł to jeszcze nie dzieło. Trochę przeszkadza mi przeszłość. Proszę nie rozumieć tego dosłownie. Po prostu wydawcy nagabują mnie o szkice i eseje rozproszone po wielu czasopiśmie, molestują o pisanie pamiętników, a ja nie mam dosłownie czasu, żeby wertować stare roczniki. grzebać się we wspomnieniach wracać w strupieszaką przeszłość, skoro jeszcze tak bardzo absorbuje mnie aż gorąca od dramatycznych wydarzeń teraźniejszości i otwierająca coraz szersze chociaż również niepokojące dramatyczne perspektywy — przyszłość.

Rozmawiał:

KONRAD FREDLICH

MIECZYSLAWA WALCZAK

ZBUDŹ SIĘ
STUDENCKA
MELPOMENO

Zacznijmy od stwierdzenia, że chlubne tradycje „Pstraga” czy „Cytryny” należą już do historii. Ale widz zapomnia o tym co było i czeka na rzeczy nowe, równie atrakcyjne i frapujące jak perłki przeszłości. Szansa i popularność teatrów studenckich trwają przede wszystkim w czasie teraźniejszym. Nie można ostatecznie się szyldem stwarzającym wokół ciągle zmieniających się członków zespołu mit o dawnej świetności. Oni to bowiem, powołując się na trwałość i tradycję liczące już kilkanaście lat teatru, czują się upoważnieni do udziału w sukcesach przeszłości i każdą nową próbę traktują jako jeszcze jedno ogniwo dołączone do łańcucha owych sukcesów. W takiej sytuacji jedno czy drugie mniej udane przedstawienie staje się dla „robiących” teatr ciemem, kładącym ich na obie łopatki i to, co powinno mobilizować do szukania innych form i środków wyrazu, powoduje długotrwałe zubożenie i niechęć do pracy.

Następnie dokonuje się rekrutacji nowych sił. Potem znów następne niepowodzenie i bledne koło się zamyka. Rezultat taki, iż teatry studenckie stają się tworem, martwym, a przeciwieście szczególnie w warunkach łódzkich, gdzie nie istnieje właściwie żaden zawodowy zespół eksperymentalny, jego miejsce zająć powinny właśnie teatry studenckie. Niestety! Zamiast działania kielkują tu ciągle nowe nadzieje i rozczarowania zarówno członków jak i ich sympatyków. W dużej mierze winien tu wspomniany już SZYLD. W teatrze małym kilkunastoletnia tradycja pojawiają się coraz to inni twórcy i inni widzowie. Widz dokonuje porównania z dawnymi, często najlepszymi przedstawieniami i budzi się w nim rozczarowanie. Ta sama publiczność zwykła także lekceważyć sobie premiery teatryku nowo powstałych i nie posiadających jeszcze żadnych tradycji.

Z rozważań tych wynika, że źródło popularności i niepowodzeń poszczególnych zespołów dopatrywać się należy w zestawieniu — teatr i jego publiczność. Nie więc dziwne go, że na 13 teatrów studenckich istniejących w Łodzi w ubiegłym roku akademickim, szerszemu gronu studentów znane były zaledwie dwa, a może trzy zespoły. Spośród tych 13 teatrów do Łódzkiego Festiwalu Teatrów Studenckich zgłosiło swój udział zaledwie 8 zespołów, a ponad to sam poziom reprezentowanych sztuk pozostawiał czasami wiele do życzenia. Zauważa się także co roku dużą „płynność” w teatrach studenckich. Chodzi tu nie tylko o zmiany osobowe. Wiele tych teatrzyków przestaje istnieć, bowiem ich założyciele nie potrafią pokonać przeszkód typowych dla początków teatru, a więc brak lokalu, finansów, a często i doświadczenia. Na miejscu tych teatrzyków powstają nowe i historia się powtarza.

Pisząc o łódzkich teatrach studenckich należy poświęcić nieco miejsca przynajmniej niektórym z nich.

CYTRYNA — w zasadzie powstała już w 1953 roku. Jest to więc teatr posiadający znaczny dorobek, tradycję i sporo dobrych premier na swoim koncie. W roku 1960 „Cytryna” przestała istnieć, ale natychmiast znaleźli się nowi ludzie i stworzili „Cytrynę” na nowo. Śledząc dzieje tego zespołu nietrudno zauważyć, że posiada on ustaloną, konsekwentną linię działania. Wiele osób pamięta zapewne świetny, zapisany złotymi głoskami w dziejach teatrów studenckich spektakl „Misterium Buffo” W. Majakowskiego, z którym byli zaproszeni na występy do ZSRR. W planach na rok akademicki 1968/69 mają program związany tematycznie z 25 rocznicą Wojska Polskiego. Z programem tym mają wyjść na przeciw, nie tylko publiczność

ci studenckiej, ale także prezentują go szerszemu ogółowi. Oprócz tego planowane jest przedstawienie „Śmierć na gruszy”, którego premiera odbyła się przed wakacjami.

PSTRAG — nieco młodszy od „Cytryny”, powstał w 1955 roku i ma za sobą 23 premiery. Jest to teatr odznaczony Honorową Odznaką m. Łodzi, a także Złotą Odznaką ZSP. Teatr to znany i ceniony, tylko ostatnio dzieje się tam coś, co można nazwać kryzysem. Sądząc zaś po składzie osobowym, teatr ten przestał być studenckim. Dopóki jeszcze żyje i działa owa stara gwardia, dopóty „Pstrag” cieszyć się będzie popularnością. Szkoda tylko, że nie ma młodego narybku, który by przejął ciężar kontynuowania tak świetnie zaczętego przed latami dzieła. Zresztą nie tylko „Pstrag”, ale i „Cytryna”, jeśli chodzi o skład osobowy, ma podobne problemy.

STUŁ — czyli Studencki Teatr Uniwersytetu Łódzkiego. Powstał w 1963 roku, do chwili obecnej zrealizował 14 premier. Na uwagę zasługuje credo artystyczne tego zespołu: „Teatr studencki jest pretekstem dyskusji o miejscu naszego pokolenia w rzeczywistości, której nie tworzyliśmy, ale która staje się naszym czasem(...) Związek teatru z tak zwaną obiektywną rzeczywistością istniejąca tylko w płaszczyźnie idei”. Repertuar tego teatru nigdy nie jest przypadkowy, a każde kolejne przedstawienie jest kontynuacją poprzednich. Operują się głównie na literaturze polskiej. Najbliższą premierą będzie „Atomna siódma braci Spiganych” T. M. cińskiego, w którym realizatorzy spektaklu chcą ukazać próbę przebudowy mentalności ci typowego Polaka.

VERBUM — w kwietniu bieżącego roku obchodził 10-lecie swego istnienia. Jest to Studencki Teatr Rozmaitości przy Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Teatrzyk to specyficzny, bo jego członkowie muszą dogodzić widowni studenckiej, żołnierskiej i cywilnej. VERBUM postawiło sobie za cel, poprzecz satory ośmieszając i zwalczając narodowe wady Polaków. Przed wakacjami teatr ten wystąpił ze swoją 20 premierą. Była nią petnospektaklowa sztuka Halla Williama pt. „Każy z nich”. Równocześnie wystąpili oni ze składaną tekstów K. I. Galszyńskiego „Listy z fiolkiem”. W najbliższym czasie pokaza widowski pt. „Rozsumiały się wierzby”, związane tematycznie z 25 rocznicą Ludowego Wojska Polskiego.

Wszystkie te teatry należą do zespołów posiadających już stałą tradycję, twórców i sympatyków. Przy okazji wspomnieć należy jeszcze o teatrzykach nowo powstałych i mniej znanych.

Do nich zaliczyć można teatrzyk „FONEM” Reżysery dla lata zaledwie i realizujący dopiero trzecią premierę. O ile dwie pierwsze zostały przez widownię studencką nie najlepiej przyjęte, o tyle ciekawie zapowiada się premiera najbliższa pt. „Akt przerywany”, oparta na tekstach Różewicza. Premiera ta może być dla „Fonemu” początkiem nowej linii repertuarowej, a mianowicie próbą ukazania modelu współczesnego człowieka i próbą konfrontacji przyszłości, przeszłości i teraźniejszości.

Po przesiedzeniu działalności każdego z wyżej wymienionych teatrów z osobną zdawać by się mogło, że wcale nie jest w ruchu studenckim tak źle. Niestety. To tylko pozory. Coraz częściej sympatycy „Pstraga” lub innego teatru dopytują się, czy taki zespół jeszcze istnieje.

Nastąpił nowy rok akademicki. Świetna okazja, żeby zrobić rachunek sumienia, obudzić się ze snu i przystąpić do twórczych poszukiwań. Publiczność studencka chce mieć swój teatr, na którego sławę mogłaby się powoływać.

Jan w oleju

Studio Współczesne Telewizji Polskiej nastawia się na poszukiwania i eksperymenty w dziedzinie dramaturgii telewizyjnej. Tu jest więc miejsce dla debiutu dramatycznego, dla nadawania widowisk w oparciu o tekst, które może nie do końca być sprawdzone. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak bardzo potrzebne jest takie poletko doświadczalne.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Studio Współczesne to nie szkółka. Skierowanie tekstu do realizacji każe także w ramach Studia stawiać określone wymogi ideowe i artystyczne. Ale odpowiedzialność jest tu wyraźnie mniejsza niż w wypadku np. Teatru Pionierskiego, który od lat przyjęło się uważać za bilet wizytowy Polskiej Telewizji.

Z wszystkimi więc zastrzeżeniami i poprawkami, bez obraźliwego protekcjonalizmu i tzw. taryfy ulgowej, a jednocześnie z życzliwą troską, jaką otaczać należy próby i poszukiwania, spróbuję ocenić widowisko pióra Jerzego Janickiego pt. „Giovanni w oleju”, które Studio Współczesne zaprezentowało nam w dniu 9 października w reżyserii Stanisława Wohla.

Premiera przypadła w okresie, kiedy dominanta programu jest tematyka związana z 25 rocznicą powstania Ludowego Wojska Polskiego. Janicki nawiązuje też wyraźnie do tej rocznicy, zawierając w swym scenariuszu epizod z walk o wyzwolenie ziemi polskiej w końcowym etapie ostatniej wojny. „Giovanni w oleju” nie ma jednak szerokiego epickiego oddechu. Jest kameralną scenką rozgrywaną się między paru ludźmi, która jednak w myśl starorzemiejskiej zasady pars pro toto (częśćka reprezentacja całości) stawia sobie za zadanie ukazanie spraw szerszych.

Kierowca wojskowej ciężarówki (świetnie zagrany przez Jerzego Turka), kapral i Armii Wojska Polskiego, który z głębi Wiązki Radzieckiej na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów wiezie worek pszenicy — „kubanki” — w przeznaczeniu na pierwszy powojenny siew w rodzinnej wsi Mordy, jest mimo realistycznej konwencji widowiska postacią symbolizującą. Symbolizuje to wszystko, co w naturze ludzkiej przeciwstawia się wojnie, co z biologiczną siłą odbudowuje życie nim wygrają ostatnie wystrzały i nim wystygła wojenna pogorzelnica.

Janicki sięga przy tym do dość prostego schematu. Ta biologiczna siła do-

chodzi najdobitniej do głosu u chłopca, którego życie wpisane jest w dobowy cykl wegetacji roślinnej, w sezonowy rozkład prac polowych, nadający wsi swoisty rytm. Nicco monotony, ale podporządkowujący sobie wszystko. Wojna, która dezorganizuje całe życie, wprowadza zakłócenia i w ów rytm życia wiejskiego, z czym natura chłopstwa z trudem się godzi.

Nie dziwnego więc, że kierowca Jan (w oleju) wybiega jakby naprzeciw pokojowemu życiu, z niecierpliwością je wyczekuje. Wiezie swój worek „kubanki” przez pola bitewne pod planową ciężarówką, niby pomost do pokojowego życia. Ziarno ma w sobie tego życia załazek.

Sytuację wyjściową dla swej dramatycznej narracji wzbogaca Janicki o inny jeszcze motyw. Oto kierowca zabiera za zgodą dowódcy do swojej siostry czy więźnia i powracającego do domu — Włocha. Giovanni nie zna ani jednego słowa po polsku, niemniej kierowca jak gdyby nie brał tego pod uwagę. Mówi bez przerwy do swego milczącego towarzysza, zwierza mu się, opowiada. Prawdy, które mu przekazuje, są tak proste i tak ogólnoludzkie, że bariera językowa wyłaje się nieistotna. Giovanni musi zrozumieć Jana.

Taka ekspozycja widowiska, poparta jeszcze dźwiękami „Oki”, od których każdemu chyba z nas robi się ciepło w okolicy serca, zapowiadała szereg wzruszenia. Janicki, choć debiutant w dramacie telewizyjnym, ma wypróbowany warsztat pisarski w dziedzinie pogłębionego psychologicznego reportażu. A jednak coś zawiodło. Za łatwo może, za zgrabnie zawiązana fabuła właściwie nie wychodzi poza elementarne prawdy zarysowane w ekspozycji. Dość prosta symbolika puszczona na falę konkretnej rzeczywistości fabularnej nie poszerza swej wymowy ideowej, a raczej ją gmatwa i osłabia.

Rozmowa z gospodarzem, do którego Jan i Giovanni trafiają w poszukiwaniu wody do chłodnicy, nie jest klarowna. Przez chłopca przemawia — ni to chytry, a na pewno ledwie skrywana niechęć do nowej władzy, która przyszła ze Wschodu i kazała żołnierzom nosić na czapkach orzełka bez korony. Narzekania na wojnę, która wieś do gruntu opogociła, chyba są dla odmiany szczerze. W sumie jednak trudno zorientować się, czemu ta roz-



mowa ma w sensie dramatycznym służyć. Jeżeli tylko dać czas innym mieszkańcom wsi wykraść worek „kubanki” z ciężarówką, to — przyznajmy — trochę czujemy się zawiedzeni.

Nie wiadomo również, jak przymierzyć ową kradzież pszenicy do założonej na wstępie symboliki. A może zrezygnować z upierania się przy niej? W takim razie, jak wytłumaczyć motywy kradzieży: głodem panującym we wsi, czy prostą chciwością? Na to nie daje Janicki jednoznacznej odpowiedzi.

Pozostaje jeszcze Włoch Giovanni, do którego milczącej obecności przykład autor dość znaczenie skóra wprowadza go do tytułu. Otóż Giovanni pod wpływem kradzieży nagłe aktywizuje się, krzyczy pod adresem przypuszczalnych rabusiów: „Disgraziati!” (Nędznicy!) i... I to właściwie

wszystko. Nawiązany zreszcie jednostronny kontakt Jan — Giovanni wystrzelił w końcowym wykrzykniku Włocha jak ładunek bez prochu.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym w widowisku Janickiego nie dostrzegł się nuty szczerego zaangażowania i elementów, które wskazują, że podjęcie realizacji tekstu przez Studio Współczesne nie było błędem. Otarliśmy się dość blisko o dobrą sztukę współczesną. Autorem stać z pewnością na nią i próba z „Giovannim w oleju” będzie dla niego pomocna w dalszych poszukiwaniach.

Władysław Odojewski

Bez strachu

DIABEL

Nie ma co bijać — wiewielu z nas boi się diabła. Najgorsze w diable współczesnym jest to, że nie wiadomo czy istnieje, a jeżeli istnieje to nie wiadomo w jakiej formie, nie wiadomo też o co mu w ogóle chodzi, i czy o cokolwiek mu chodzi — przecież na pewno nie o nasze dusze — co by z nimi począł, gdyby nawet je posiadał? Przecież dusze dużej ilości ludzi to artykuł wybitnie deficytowy, a przejęcie ich i nadzór nad nimi w otchłaniach piekła to zajęcie niewdzięczne, odpowiedzialne. Pojęcie diabła kolekcjonera dusz wyszło z ludzkiej psychy — to o nas, właśnie o nas tak pojęty diabeł toczył walkę z Bogiem — zwoził Boga, sugerując, że chodzi mu o pomoc w realizacji ostatecznego najtrudniejszego dobra — w istocie pragnął dusz dla zła, a jeżeli nie istniało zło pozytywne, to on właśnie nie pragnął je stworzyć i to stworzyć dla nas, nami i przez nas. Taka to była gra, w którą wierzyliśmy przez stulecia — potem nagle gra się skończyła — trudno powiedzieć kto ją wygrał. Być może zresztą stawka była zbyt drobna, nieopłacalna i zawiedzeni gracze rzucili karty. Jeden z nich ukrył zagniewane oblicze dla części ludzi, drugi — ten zły — dla wszystkich. Nie ma go zatem, a przecież jest, tylko jest w innym niż niegdyś wymiarze, w innym niż niegdyś znaczeniu i o co innego mu chodzi, z obrzydnym demona stał się złośliwym karzelem — to on wytrąca nam z ręki widelec, to przez niego cierpiąc na katar zapominamy zabrać ze sobą chustkę do nosa — to on sprawia, że kichamy w obecności naczelnego dyrektora, on nam wytrąca z rąk szklanki. On nakrywa ogonem odłożone na chwilę okulary, grzebie, on skłania nas do zażywania nadmiaru lekarstw, koniecznie zagraniczonej produkcji. Wpływa na zły funkcjonowanie poczciwej poczty, a mnie samemu podszepuje niekiedy, że te felietony są znakomitymi utworami. Istnieje więc, czy nie istnieje — wreszcie dla kogo istnieje i w jakiej kwestii istnieje i działa ostatecznie, działa w drobnych, śmiesznych sprawach. Oto napiszę ten felieton i zmarszczy brwi Naczelnny Redaktor. „Co takiego, przecież on na łamach naszego postępowego, racjonalistycznego piśmie sugeruje istnienie diabła. Przenieść jego felietony z przedostatniej strony na ostatnią i drukować je jeszcze mniejszą czcionką i zmniejszyć mu honorarium (jakby można było jeszcze zmniejszyć). Co do czytelników, to ci obrażą się podzieleni na dwie grupy. Grupa pierwsza powie: „Co, on wierzy w diabła?” — grupa druga powie: „Co, on nie wierzy w diabła?” Co przez to zyskam — kto sta nie za mną — wszyscy ludzie z roznaitych powodów będą mi przeciwni. A On — albo go nie ma, albo jest jeżeli go nie ma, to nie będzie ani za mną, ani przeciw mnie, jeżeli jest to będzie przeciw mnie, bo On jest przeciw wszystkim. Jakże więc są moje motywy? Otóż pragnę wykazać sobie czy inym zupełną bezinteresowność — dowód tej bezinteresowności jest mi potrzebny do utwierdzenia się we własnej wartości, we własnej godności. Gdybym napisał o piwowarze u którego pije piwo, byłoby to interesowne, gdybym napisał o krawcu, o piekarzu, o lekarzu, o Konstantym Mackiewicz — wszystko to byłoby interesowne. Jedyną wykładnią mojej bezinteresowności jest właśnie diabeł.

BERNARD SZTAJNERT

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Czekają na nas dwa filmy, którym warto poświęcić trochę uwagi, filmy generalnie różne, a jednak znajdujące wspólne wyznaczniki w powtarzających się w nich motywach. Motywy te zamykają się w słowach: granice wolności osobistej, miłość, namienność, śmierć i dom. Znajdujemy je w czeskiej „ROMANCY NA TRĄBKĘ” Otokara Vavry i jugosłowiańskim filmie „SPOTKAŁEM NAWET SZCZĘŚLIWYCH CYGANÓW” Aleksandra Petrovića.

„Romance na trąbkę” jest wynikiem współpracy O. Vavry ze znanym czeskim dramaturgiem i poetą F. Hrubinem, jest filmową wersją jego poematu. Sądzić należy, iż wpływ Hrubina na kształt filmu nie ograniczył się do pracy scenariuszowej. Klimat „Romancey”, jej nastroje i sposób patrzenia na świat ludzi i przyrody jest filmową transkrypcją poetyckiego słowa. Gdyby poprzestać na streszczeniu fabuły, pozostalibyśmy przy wrażeniu, że opowiedziano nam jeszcze jedną, mało w końcu oryginalną, historię pierwszej miłości siedemnastolatków. Ta miłosna historia wzrusza jednak tragizmem okoliczności jej towarzyszących.

Patrząc na czeskie filmy ostatnich lat, zazdrościliśmy ich twórcom tego, że umieją zagłębiać się w codzienność, odnajdując ważność w przeciętnych ludzkich losach, nadebrać oryginalność temu, co na pozór nieważne i anonimowe. To znajdujemy również w „Romance na trąbkę”. Tragizm opowiedzianej historii wynika z rzeczy pozornie najzwyklejszych, ściśle związanych z ludzkim życiem. Młodzi kochankowie nie spełniają swego marzenia, nie uciekną w nieznane, tam, gdzie wydaje im się, iż znajdują szczęście, gdyż stanie im na przeszkodzie coś, co jest zaprzeczeniem ich miłości — śmierć starego człowieka, który przecież nie powinien już mieć wpływu na toczące się dalej życie. Poe-

zję miłości skojarzono z realizmem życia, w konkretnym zaś przypadku z jego ostatecznym przejawem — śmiercią. Skojarzenia tego dokonano nie tylko dla wydobycia metafizycznego sensu tej opowieści i nie artystycznym duchem ją stworzono. Zaufano życiu, jego realiom moralnym i obyczajowym. „Romance na trąbkę” jest filmem kontrastów — historią miłości zmysłowej i miłości lirycznej, jest opowieścią o młodości i starości, jest obrazem narodzin i śmierci, jest wreszcie opowieścią o tym, jakim kosztem okupuje się wejście w wiek dojrzały. A wszystko to przedstawiono nam na tle bardzo pieczołowicie odtworzonej rzeczywistości lat bardzo już dalekich, na tle maleńkiego czeskiego miasteczka sprzed trzydziestu lat, gdzie życie pozornie tak bardzo w swym tempie i klimacie różniło się od czasów nam współczesnych. Znalezione również miejsce na to, by życie ludzkie, to które dojrzeje, i to które odchodzi zwać integralnie ze światem przyrody towarzyszącym człowiekowi w miłości i śmierci. Jest w tym filmie głęboko odczuwalne ciepło życia i chłód śmierci, jest poezja i realizm.

Petrović w swym filmie „Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów” idąc tropem swych bohaterów, natrafia na te same ślady życia, o których opowiada Vavra i Hrubin. Ze zaś znajduje ślady o konturach wyraźniejszych, to tylko dlatego, iż odnalazł je w rzeczywistości, która dla naszej cywilizacji jest już egzotykiem. Wprowadził nas Petrović w świat, w którym słowo wolność wleciała się w życie, gdzie te normy moralne i obyczajowe, które tak ważną rolę grały w „Romancey” nie są w stanie rzutować na ludzkie działanie. Umilowanie wolności własnej jest uczuciem determinującym, jest prawem zaakceptowanym przez całą społeczność środowiska Cyganów. Ce-

na jaką za to płacą to twarde, okrutne i nędzne życie, cenę tę płacą z całą świadomością i zapamiętaniem. Akceptując to życie, biorą z niego wszystko, co może przynieść chwila, nawet miłość czy nienawiść są uczuciami, które trwają tak długo jak na to może pozwolić owa chwila szczęścia bądź nieszczęścia. W „Romance na trąbkę” śmierć przekreśliła miłość, w filmie „Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów” tej przepaści nie znajdźmy.

Reżyser zafascynowany wolnością Cyganów udziela coś ze swych nastrojów i nam. Nie sposób się uwolnić od urzeczona bogactwem obrazów cygańskiego środowiska i jego zwyczajów. Nie sposób nie fascynować się bohaterem filmu — Borą, w którym dostrzegamy przede wszystkim inteligentnego, pełnego marzeń człowieka, który nie może pogodzić się ze swym losem, czyni jednak wszystko, by pozostać z nim związanym na zawsze. Siła instynktu i przywiązania do życia, które pędzi jest silniejsza od niego. Gdy patrzmy na Borę (znakomity Bekim Fehmiu), przypomina nam się niezapomniany Grek Zorba. To ludzie o podobnych duszach i namiennościach.

Dla swej opowieści o spotkaniu ze szczęśliwymi ludźmi znaleźli autorzy filmu adekwatny kształt artystyczny. Autentyzmowi życia bohaterów filmu, gwałtowności i bezkompromisowości ich natury towarzyszy agresywność kolorystyki obrazu filmowego. Barwy przyrody i strojów, biel pierza i czerwień krwi korespondują ściśle z tym, co wiemy o cygańskim umiłowaniu kolorów i z tym, co o tych ludziach nam powiedziano. Dopiero na końcu tych wszystkich odczuć i wrażeń znajdujemy świadomość tego, iż mamy do czynienia z niesłychanie autentycznym i sugestywnym dokumentem socjologicznym, który staje się również pytaniem i problemem społecznym.

EWA NURCZYŃSKA



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Marcel Duchamp: „Naga kobieta zstępująca po schodach”.

SMIERĆ MARCELA DUCHAMP

TU ŻYŁA W LATACH 1905 a 1925 RODZINA ARTYSTÓW NORMANDZKICH: JACQUES VILLON (1875-1963), RAYMOND DUCHAMP-VILLON (1876-1918), MARCEL DUCHAMP (1887), SUZANNE DUCHAMP (1889-1963).

Tak napis widnieje na fasadzie domu przy ulicy Joanny d'Arc w Rouen. Z tej utalentowanej rodziny artystów żył jeszcze do niedawna jedynie 81-letni Marcel Duchamp. Zmarł w gościnnym domu w Neuilly. Wszyscy artyści Duchamp byli pod wpływami kubizmu, a Marcel jako pierwszy uprawiał ten kierunek sztuki. Niewiele pozostawił po sobie dzieł, niemniej krytyka ceni go wysoko. Do jego najbardziej znanych obrazów należy „Naga kobieta zstępująca po schodach”.

które na wystawie nowojorskiej w roku 1913 wywołał wręcz sensację. Dzieło to, typowo kubistyczne, przedstawia jedną, kobiecą postać w kolejnych, sześciu następujących po sobie fazach ruchu, przy czym rysowane postacie przenikają się wzajemnie. Stąd obraz nosi cechy typowe dla niektórych późniejszych dzieł futurystycznych. Marcel Duchamp, zawieszony do ekstrakubizmu i „epatowania burżuazji” wypalając „ready made” to jest jeszcze do niedawna jedynym dziełem sztuki jakiegokolwiek rodzaju, go przedmiotem użytkowym. Artysta zmienił go zaledwie w sześć godzinach lub nie zmienił wcale. I tak np. w roku 1913 jako obiekty sztuki prezentował koło rowerowe, koszyk na butelki lub... pisuar. To Marcel Duchamp namalował Monę Lisę z włoskami nad głową, cała po schodach”.

sala jej matka lub przy najmniej pomagała je pisać. Związek Autorów urządził więc specjalny egzamin, który zakończył się pełnym sukcesem młodej poetki. Gdy Minou Drouet ma lat 9 wychodzi drugi zbiór jej wierszy, dzieła zebrane. W tym to roku Minou Drouet komponuje kilka piosenek, uczy się gry na gitarze, a następnie występuje ze swym repertuarem w Cannes. Potem odbywa tournée artystyczne w różnych krajach świata. Gdy ma lat 15 postanawia projektować suknie. Podpisawszy kontrakt z jednym z domów mody Minou Drouet rysuje modele, firma zaś wykonuje według nich suknie dziewczęce. Wkrótce Minou Drouet porzuca to zajęcie i mając 16 lat uczy się tańca klasycznego i akrobatyki. Już wówczas udziela dziennikarzom obszernych wywiadów o swej różnorodnej karierze artystycznej i zawodowej, jakby miała co najmniej 80 lat.

NIEZWYKŁA KARIERA PANNY MINOU DROUET

O bajecznej — jak czytamy w tytule — karierze Minou Drouet pisze paryski dziennik „Le Figaro”.

Minou Drouet, słynne kiedyś „udowne dziecko”, sześciolatnia poetka, ma dziś 22 lata, z czego 17 lat upłynęło jej na zadziwiającej karierze zawodowej. Pierwszy zbiorek poezji pt. „Arbre mon ami” (Drze wo mój przyjaciel) wydała, jak wiadomo, na 16 lat sześć. Podejrzewano, że te wiersze pi-

śnią autorów, którzy kandydować będą do nagrody za rok 1968. Są to Bernard Clavel, Gregoire Pessaret, Michel Larneuil, Dominique Proy, Michel Piedou, Francois Nourissier i Albert Cohen. Jeśli chodzi o tego ostatniego pisarza to większość członków Akademii wysunęła obiekcje czy należy nagradzać tak wiekowego autora, gdyż Cohen liczy sobie lat 73. Jak jednak stwierdził jeden z jurorów „wiek nie ma tu nic do rzeczy. To co się liczy u pisarza to nie wiek, lecz jego talent”.

Mając lat dwadzieścia dwa występuje w cyrku poskramiając dwie zmiłki i pytona oraz ucząc się tresowania węża boa. Ostatnio ćwiczy się w grze na pianinie i gitarze oraz hoduje szynszyle. Stara się o adaptacje filmowe kilku swoich powieści.

AKADEMIA GONCOURTÓW PRACUJE

1 października członkowie Akademii Goncourtów zebrali się po raz pierwszy w tym roku w celu dokonania wstępnych prac w związku ze zbliżającym się terminem wyznaczenia tegorocznej nagrody.

W selekcjonowaniu siedmiu autorów, którzy kandydować będą do nagrody za rok 1968. Są to Bernard Clavel, Gregoire Pessaret, Michel Larneuil, Dominique Proy, Michel Piedou, Francois Nourissier i Albert Cohen. Jeśli chodzi o tego ostatniego pisarza to większość członków Akademii wysunęła obiekcje czy należy nagradzać tak wiekowego autora, gdyż Cohen liczy sobie lat 73. Jak jednak stwierdził jeden z jurorów „wiek nie ma tu nic do rzeczy. To co się liczy u pisarza to nie wiek, lecz jego talent”.

PISARZ Z BARU „ŚWIAT”

Kiedy w ubiegłym roku wydano w Polsce pierwszą książkę Bohumila Hrabala, było już wiadomo, że Czechom przybył znakomity pisarz, pierwszy od czasów Jaroslawa Haszka. Ale Hrabal jest od Haszka o całe niebo większy — Hrabal jest mądrzejszy o doświadczenia najokrutniejszej z wojen i o doświadczenia literackie ostatniej doby.

Haszka odbijał w krzywym zwierciadle rzeczywistość CK Austrii — opisywał w niepowtarzalny sposób tamten świat. Hrabal jest większy — on tworzy nowy, literacki świat okrutny i groteskowy, liryczny i śmieszny, patetyczny i prosty. Świat Hrabala jest syntezą tego świata, w którym wszyscy żyjemy. Hrabal jest pisarzem nie zwykłym — nie pisze tego jako krytyk, bo nim nie jestem — piszę to jako czytelnik, który zawojowany został porwijącą prozą Hrabala.

Na czym polega niezwykłość i porwijający rytm prozy Bohumila Hrabala? Odpowiedź szczerze — nie wiem. Wiem natomiast, że nie ma w tej prozie zbędnego zdania, że pisząc o rzeczach małych, potrafi nam unaoznić rzeczy wielkie, że mimo pozornych wulgaryzacji jest to proza piękna i czysta. Czyste i piękne są bowiem intencje pisarza, który kocha ludzi. Pisarza, który zanim zaczął pisać, poznał dogłębnie i namacalnie różne szczeble życia, który machał łopatką i sprzedawał świecidełka, który pił piwo i przewędrował całe Czechy wzdłuż i wszerz.

Ten przedziwny „Bar Świat”, zaludniony autentycznymi ludźmi, bar opisany soczystą, jedyną wspaniałą prozą — mógł stworzyć tylko pisarz prawdziwy. Bohumil Hrabal jest takim pisarzem.

J. W.



PROZA SKANDYNAWSKA

Wydawnictwo Poznańskie, które już od dłuższego czasu popularyzuje u nas literaturę skandynawską, tym razem dostarczyło na księgarski rynek powieść Veijo Meri pt. „Korzenie na wietrze”. Autor, współczesny pisarz fiński, znany jest już polskiemu czytelnikowi z wydanej w 1967 roku „Historii sznura z manili”. No wa powieść, nagrodzona przez wydawnictwo Otava, należy do jego najwybitniejszych osiągnięć literackich. Akcja „Korzeni na wietrze” toczy się w roku 1914 w małym, garnizonowym miasteczku, w którym stacjonuje wojsko. Autor z drobiazgową dokładnością opisuje zwyczaj codziennego życia swoich bohaterów. Jest ich niewielu, zaledwie czworo ludzi, których łączy bliskość sąsiedztwa. Wiąże ono na krótko młoda służąca profesora i ordynansa rosyjskiego kapitana. Ale jest to zbliżenie powierzchni, bo w gruncie rzeczy ludzie ci żyją obok siebie, niemal się nie znając. Zegnają się ze spokojem i bez żalu odchodząc. Niewiele dzieje się w „Korzeniach na wietrze”, bo autor opisuje życie przeciętnych ludzi w maleńkiej miejscowości, w której po prostu jest symbolem wielkiego świata. Chodzi mu przede wszystkim o pokazanie pewnego typu ludzi o ciekawej i barwnej psychice, ale dość osobiwej, samotniczej, zamkniętej przed ludźmi i dla ludzi. Taki jest właśnie profesor Nuutinen, najbardziej charakterystyczna postać powieści Veijo Meri.

Piękna w swojej prostocie proza, to jeszcze jeden niebłahy atut powieści, którą można polecić nie tylko miłośnikom literatury skandynawskiej.

B. M.

Veijo Meri — „Korzenie na wietrze”, Wydawnictwo Poznańskie, 1968, str. 227, cena zł. — 20.

Bohumil Hrabal, „Bar Świat”, Czytelnik 1968.

spektakle tygodnia

	spektakli widzów proc.	
TEATR WIELKI		
„Carmen”	1	1136 89
„Jezioro łabędzie”	1	1276 100
„Tosca”	1	1187 93
„Książ Igor”	1	1276 100
„Rigoletto”	1	1085 85
„Straszny dwór”	1	1174 92
NOWY		
„Pierścień wielkiej damy”	3	1500 75
„Czerwone pantofelki”	2	1000 75
MAŁA SALA		
„Gra miłości i przypadku”	5	900 85
POWSZECHNY		
„Kawior i kaszanka”	4	2400 90
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	520 92
„Szelmostwa Skapena”	1	668 100
OPERETKA		
„Hrabina Marica”	6	6363 90
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ		
„Kłopoty Marianny”	5	1141 80
„Okoliczność lagodząca”	3	769 89
FELHARMONIA		
2 koncerty symfoniczne		960 słuchaczy — 70

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Co jakiś czas — i to raczej dość często — dowiadujemy się o odkryciach naszych archeologów. I znów mogę odnotować, że ekipa mgr M. Jazdzewskiej — Majdowej odkryła w powiecie łaskim cmentarzysko z czasów tzw. kultury pomorskiej czyli sprzed blisko 3 000 lat. Ziemia łaska kryje zresztą w swym wnętrzu skarby naprawdę bogate. Rok temu odkryto tu we wsi Ldzań całą prasłowiańską osadę a w Przyroczynie odkopano prasłowiańskie cmentarzysko bardzo bogate w przedmioty kultury materialnej, pochodzące z ówczesnego imperium Rzymskiego. Wszystkie te cenne wykopaliska można obejrzeć w pabianickim Muzeum Regionalnym. Muzeum to oprócz znajdowania skarbow przeszłości zna też wagę teraźniejszości. Na stanowiska archeologów przywozi mianowicie młodzież z pabianickich szkół, aby nad wykopaliskami

nauczyciele mogli prowadzić lekcje historii. Jest to pomysły godny upowszechnienia.

WTOREK

Tramwaj jest moja czytelnia. Nie jestem zresztą w Łodzi wyjątkiem bowiem tak już się dzieje, że mieszkańcy Widzewa pracują na Bałutach, a mieszkańcy Karłowia jeżdżą do pracy na Teofilów... Wiele odbywamy codziennie wędrowki ludów. I może właśnie dlatego sławie dziś Wydawnictwo „Książka i Wiedza” za miniaturowe broszurki z najprędniejszą literaturą świata. W załączonym tramwaju czytamy sobie uroczę opowieści Saroyana, smutno uśmiechnięte nowele Czechowa (ukazał się już trzeci tomik Czechowa). Czytam Caldwellella, Saltykowa - Szczedrina, Kiplinga, Maupassanta... Czytam książeczki z serii „Kolibra” w cenie paczki sportów i zapalek... Największe utwory światowej literatury za cztery

złote. I nie od rzeczy będą także wspomnieć, że te masowe wydania klasyków w nakładach ponad 100 tys. egzemplarzy drukuje „moja” przecież, drukarnia — Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” w Łodzi.

ŚRODA

Jak co roku jesienią, w pięknym Domu Techniki, rozpoczyna się impreza (do dam, że po raz jedenasty) o nazwie „Dni Książki i Prasy Technicznej”. A mają się technicy czym pochwalić, bo rocznie wydaje się w Polsce ponad 700 pozycji z różnych dziedzin techniki, a ponadto ukazuje się ponad 150 technicznych czasopism. Nie dziwnego — armia techniczna rośnie, technika — jak to się mówi — idzie naprzód, więc trzeba czytać, aby dyplom nie był tylko ozdobą. Może właśnie dlatego — wystawa w Domu Techniki jest nie tyle wystawą o kiermaszem — każdy z tysięcy wystawionych tytułów można od razu kupić w znajdujących się obok księgarni. Chociaż ze światem techniki nie mam nic wspólnego w sensie profesjonalnym zachwylił mnie także dział informacji. Można w nim znaleźć nie tylko wykazy wszystkich wydawnictw technicznych świata, ale także rejestry prac przetłumaczonych, biuletyny, informacje o patentach itp. Technicy dokonali ogromnej pracy w imię techniki, która

przecież ułatwia życie nam wszystkim.

CZWARTEK

Półtora roku przyjaźni między Teatrem Wielkim a ZPO im. M. Fornalskiej. Jest to o ile wiem pierwsza tego rodzaju umowa o współpracy w Łodzi, choć w Warszawie niektóre teatry z powodzeniem od lat podobne kontakty utrzymują. Z korzyścią dla fabryki i dla teatru. Dla robotników i dla aktorów. Półtoraroczne już doświadczenia tej przyjaźni fabryki z teatrem to nie tylko robotnice na widowni, ale to także audycje muzyczne w fabryce przygotowane przez teatr. To także koncerty w zakładowym klubie, na które przychodzi po kilkaset osób. To także techniczna pomoc fabryki gdy zabraknie w teatrze jakiejś specjalnej śruby, narzędzia itp. Teatr i fabryka w konkretny, namacalny sposób realizują formułę upowszechniania kultury. Czyż nie to bez fanfar i bez bicia w werble. Ale czynią skutecznie. I czekają na naśladowców.

PIĄTEK

Ludzie teatru mówią: nie tak nie ożywia sztuki jak dobry trup. Parafrazując to stare powiedzonko powiem: nie tak nie ożywia sztuki jak dobry łapiesz językowy. Mówię to bo sam jestem autorem kilku dziennikarskich pot-

knici. Napisałem kiedyś w felietonie: „podjęli pewne kroki na własną rękę”. Mój kolega natomiast pisząc o niewypalonych palniskach: „potężny wybuch wstrząsnął murami drewnianego domu”. Lubie te lapsusy, bo świadczą one, że gazecie robią zwykli ludzie, co to się i przeleżyczyć mogą i pomylić. Choćby w poprzednim Notatniku napisałem, że z organów płynęły dźwięki sonetów. No, takich organów to jeszcze nikt nie wymyślił, oczywiście chodziło o sonaty. Takie literowe błędy wynikają z pośpiechu w adustacji korektorskiej o czym uprzedzić nie donoszę zaniepokojonym moją ignorancją czytelnikom, którzy do mnie telefonowali.

SOBOTA

Nareszcie ten oczekiwany numer „Kultury” z listem Jerzego Andrzejewskiego i refleksją na jego marginesie Bohdana Czechki. List diabelnie smutny, bo świadczy, że pisarz który od polityki nigdy nie stronił nie rozumie, że do Czechosłowacji nie poszliśmy brać cudze, lecz bronić swojego. Poszliśmy tam również po to, aby uchronić nasz naród od tragicznych powikłań w wyniku których jakiś Maciek Chelutki musiałby znów umierać niepotrzebnie, głupiej śmiercią. Tego nie chciał zrozumieć autor „Popiołu

i diamentu”. To głęboko smutne i ten smutek bija z wypowiedzi Bohdana Czechki. Dla mnie dodatkową wymowę ma fakt, że polski pisarz zwraca się z łanów francuskiego pisma do czechosłowackiego pisarza, który postanowił nie wracać do kraju i obaj katedrę na amerykańskiej uczelni. Tego paradoksu Jerzy Andrzejewski też nie chciał dostrzec.

NIEDZIELA

Kilka tysięcy pracowników ZPB im. Marchlewskiego otrzymało dziś kieluski za swoją drużynę, która w teleturnieju „Ukończony kraj” starta się z drużyną PGR — Manieczki. No — pomyślałem sobie — Manieczki dostaną „banki”. I dostały, ale raczej... Manieczki dostały „banieczki”. Łódź wygrała różnicą zaledwie jednego punktu. Trzeba jednak przyznać, że poziom turnieju był naprawdę wysoki no zresztą podkreśliło to wysokie jury. Podkreśliło także erudycyjną wiedzę i swadę inż. Heleńny Polt z łódzkiej drużyny. Zbliżają się finały teleturnieju — teraz już cała Łódź trzymać będzie kieluski za pomyślność swoich reprezentantów. Myślę zresztą, że to nawet niepotrzebne — osobście na zwycięzce teleturnieju typuję „Marchlewskiego”. Przyjmując zakład — kto chętny?

JERZY WIDOK

SALONY SMIERCI SS

W roku 1969 Bundestag postanowił uchwalić ustawę o przedawnieniu zbrodni hitlerowskich. A przecież mimo upływu ponad 23 lat od zakończenia II wojny światowej, świat ujawnia coraz to nowe zbrodnie hitlerowskich oprawców. Poniżej drukujemy fragment z książki lekarza francuskiego, która ostatnio ukazała się we Francji. Autor, dr Christian Bernadque, pisze w niej o zbrodniczych doświadczeniach na więźniach obozów koncentracyjnych, których dokonywali hitlerowski „lekarze-eksperymentatorzy”. Fragment książki, o której mowa, ukazał się w paryskim „Figaro Littéraire.”

Po niepowodzeniach, które spotkały Niemców w „bitwie o Anglię” wywiadowca służba sił powielicznych III Rzeszy skierowała całą uwagę na problemy walki na morzu. Angli cy bezludnie zestrzeliwali nie mieckie samoloty, a lodowata woda kanału La Manche „do bijala” powielicznych asów marszałka Goeringa bardziej efektywnie, niż serie z kara binów maszynowych.

Problemy przechłodzenia ciała miały dla nas ogromne znaczenie — zeznał na procesie norymberskim hitlerowski generał służby medycznej Chippke.

Lotnicy ginęli w wodzie z chłodu, mimo ciepłej odzieży. Nawet lotnicy wylotowi z wody i jeszcze żywi umierali mimo troskliwej opieki.

W owym właśnie czasie, le karz wojskowy Rascher prowadził intensywne „badania” w specjalnym pomieszczeniu w Dachau. Interesowały go też problemy przechłodzenia ciała w wodzie, jednakże przez ciężony „ścisle tajnym” i ważnymi pracami nie mógł tym problemem poświęcić więcej uwagi. Tak się jednak złożyło, iż wkrótce niejaki profesor Weltz opublikował pracę, która zwróciła uwagę naukowo-badawczej służby WWS, jak również uwagę doktora Raschera. Oto podczas eksperymentów dokonywanych na świnkach morskich, Weltz i jego asystenci stwierdzili, że zwierzęta ochłodzone do temperatury krytycznej, szybko dochodzą do siebie po zanurzeniu w wodzie o temperaturze 40 stopni. Dotąd lekarze-eksperymentatorzy obawiali się tzw. syndromu przegrzania. Zaproszono Weltza do Dachau... Urządził się w prze stronnym chlewie, oddalonym 10 kilometrów od „pokoju tor tur” doktora Raschera.

Holender Hendrik Bernard Knol zmarł na szpitalnej przychy. Dość szybko dochodził

do siebie po ciężkim zapaleniu płuc. Nagie wrzaski: — Wstawaj, ścierwo! Zammaj, szybko!

Knol nim zdążył naciągnąć stare kaptcie, już dostał kijem. Przed szpitalem stał ziele ny samochód.

— Będziesz nacił łód! — powiedział esesman

I Knol przemiósł z samochodu do wielkiej drewnianej skrzyni-basenu, stojącej po środku dużego pomieszczenia o śnieżno białych ścianach, (pilnujący go esesman nazwał je „salonem lotniczym”) 20 brył lodu. A w owym pomieszczeniu — niżej ki stolik, dwa pulpity, biurko. Przy ścianie długi stół ze wspornikiem, a na nim laboratoryjne naczynia, dalej materac ze słomy, trzy taborety, krzesło, na podłodze moc przewodów elektrycznych, pod sufitem, a nad ową drewnianą skrzynią-basensem, stalowa belka. „Basen” długi na dwa metry i takiej samej głębokości, umocowano około pół metra nad podłogą. Zarówno w „basenie”, jak i w „salonie” znajdowały się liczne przyrządy pomiarowe.

...Do księdza Michałowskiego, który spoglądał na kawał lodu, pływający w wodzie, Rascher krzyknął:

— Rozbierz się! Michałowski wybrał do doświadczeń naczelnik obozu w Dachau.

— Do pleców przytwierdzone mi przewody — opowiada ksiądz Michałowski — „poczym kazano ubrać się w lotniczy kombinizon i futrzane buty. Na szyi umocowano detkę ze mochodową, znow podłączono przewody i wszędzie wrzucono do lodowatej chłodnej wody. Od razu zrobiło mi się bardzo zimno i zacząłem drżeć na całym ciele. Powiedziałem do Niemców stojących wokół „basenu”, że takiego chłodu nie wytrzymam, ale zaśmiali się tylko i powie dzieli, że nie potrwa to długo. Chwilami traciłem przytomność, trwało to około pół torej godziny. Od momentu

zanurzenia w lodowatej wodzie rozpoczął się proces ochładzania i spadku temperatury ciała, początkowo wolny, a z upływem czasu coraz szybszy (słyszałem, jak mówili o tym lekarze). Na początku miałem 36,6 stopnia, później — 33 stopnie i po upływie około godziny — już zaledwie 30 stopni... Trwałem w stanie zamroczenia. Co 15 minut pobierano mi krew z ucha. Przyniesiono papierosa, ale nie miałem ochoty na palenie. Mimo to sanitariusz wci snął mi go do ust i polecił zaciągnąć się. Wypaliłem zaledwie połowę. Następnie dali mi trochę spirytusu, a nieco później szklankę podgrzanego rumu. Odniosłem wrażenie, że umieram i znów poprosiłem, żeby wyciągnęli mnie z wody. Wtedy lekarz kazał mi wypić kilka kropel jakiegoś słodkawego płynu. Straciłem przytomność.

Był już wieczór, gdy otworzyłem oczy. Leżałem na noszach, okryty kocami, nade mną płonęły ciemno granatowe lampy. Długi czas czułem się bardzo źle: nierytmicznie pracowało serce, bolała głowa, często kurcze nóg wywoływały ostre bóle.

Doświadczenia prof. Holzleina i doktora Raschera powinny się zakończyć na początku 1942 roku. Osiemdziesięciu więźniów chłodzono w „basenie salonu lotniczego”.

— Piętnastu lub może osiem nastu więźniów zmarło w chwili, gdy lekarze próbowali ich „odgrzać” — zeznał później na procesie w Norymberdze Walter Neff...

W wyniku tych zbrodniczych doświadczeń, Holzleiner i Rascher napisali prace; jej część „naukowa”, obejmująca 50 stron maszynopisu, jest dziełem Holzleina...

Himmlera i tzw. eksperymentalne centra medyczne SS absorbował następujący problem: Ile czasu może żyć człowiek, pijąc wyłącznie morską wodę?

W owym czasie, w III Rzeszy, wynaleziono już dwie metody uzdatniania wody morskiej do picia: metodę Schafera, wojskowego lekarza-chemika i metodę Berkya znanego inżyniera wojskowego. Ale metody te należało sprawdzić na żywych organizmach ludzkich...

...Karl Holleinreiner i Josef Laubinger znaleźli się pewnego dnia w Buchenwaldzie. Od momentu, gdy powiedziano im wyraźnie i bez ogródek: „Jesteście Cyganami, a to wcale nie lepsze, niż Żydzi!” — oczekiwali każdego dnia na krematorium. I oto któregoś ranka esesowicz wyczytał na apelu ich nazwiska i numery obozowe z długiej listy nazwisk innych Cyganów. Po skrupulatnym przeglądzie „materiału”, z 63 wyczytanych — odrzucono 44 ludzi. Obecny przy tej selekcji doktor Bleigbek powiedział krótko i węzłowato: „Przywieziono was tu-

taj, żebyście mogli wziąć udział w eksperymentach medycznych, które nie przedstawiają dla was najmniejszego niebezpieczeństwa”. Ostatnie dwa słowa doktor podkreślił parokrotnie. Po czym dodał: — Będziecie dobrze karmieni, otrzymacie papierosy, a wy z kolei, pod naszym nadzorem, popijecie sobie trochę morskiej wody...

Przeznaczony do eksperymentów barak 1/4 znajdował się na uboczu. „Lekarze-eksperymentatorzy” zajmowali obszerne pomieszczenie wlewym skrzydle baraku. Przy wszystkich drzwiach trzymali straż esesowcy. Więźni tu Cyganie byli młodzi, wielu nie miało nawet dwudziestu lat, najmłodszy miał szesnaste. Nie sposób opisać wszystkie szczególności doświadczeń, gdyż każdy więzień miał inny „reżim doświadczenia”. Niektórych głodzono 5-7 dni, inni otrzymywali racje wojskowe. Jednym dawano pół litra morskiej wody, uzdatnionej do picia metodą Berkya lub Schafera. Innym kazano wypijać po litrze czystej wody morskiej w ciągu dnia.

— Już w pierwszych dniach eksperymentów — opowiada Laubinger — dowiedzieliśmy się od pewnego więźnia, że kto pije wodę morską — musi umrzeć. — Powinności odmówić — pouczył nas na zakończenie.

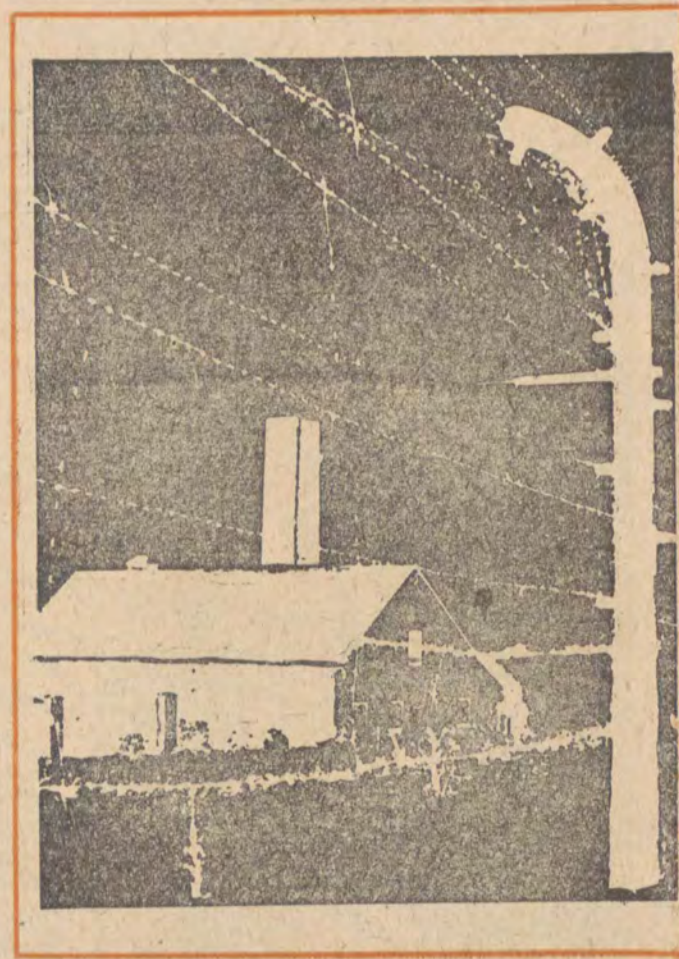
Gdy dowiedział się o tym doktor Bleigbek wpadł w szal: — To sabotaż! — krzychał. Wiesz co robimy z sabotażystami? Wieszamy ich!

...Człowiek wypił swoją porcję wody morskiej i natychmiast ją wymiotował. Ale Bleigbek przy pomocy gumowej rurki wprowadził mu wprost do żołądka jeszcze większą porcję. Inny więzień, dręczony pragnieniem, próbował w ubikacji liczyć rury w dociągówce. Wówczas Bleigbek przywiązał go do przychy i zaklecił mu usta leukoplastem. Wielu cierpiało na potworne bóle żołądka i brzucha, krzy czeli i płakali, jak dzieci. Na usta występowała pianina...

Cygan Holleinreiner miał nu mer obozowy 23. Opowiada:

— Piłem najgorszą wodę, żółta, otrzymana metodą Berkya. Pamiętam, na jednej z przychy, zaraz przy wejściu, jakiś człowiek wyl z bólu i przerażenia. Na ustach miał pianę, Pękła mu wątroba. Traciłmyślny z głodu i pragnienia, ale Bleigbek nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Cygan, który zjadł małą kawałeczek chleba i popił go czystą wodą naraził się na szal właściciela Bleigbeka: ka zał go przywiązać do przychy i zakneblować...

Doktor Roch, francuski lekarz, były więzień Dachau, oraz inni członkowie tajnego komitetu Ruchu Oporu, chcieli się dowiedzieć, na czym polega tajemnicze eksperymenty w bloku 1/4. Więźni tam lu dzie traciłi rozum. Krzyczeli, skrecałi się z bólu, ich ochry ple oddech spłatały się w jedno, straszne, przedśmierne rżenie. Przeróżający obraz: skóra, która stała się brudna i sztywna, jak pergamin,



schodziła całymi płatami. Nogi spuchnięte do granic możliwości ci.

Obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie. Edward Lamber stoi na baczność, opierając się lekko o ścianę. (Jego zeznanie spisał autor 12 grudnia 1967 roku).

— Podejść! Kuśtykając, podchodzi Lamber do lekarza. Widział go już przedtem.

— Jak noga? Nogę przygniotła Lamberowi wagonetka.

— Lepiej. Już dziś wypisują mnie z lazaretu.

— No, cóż, masz prawo do nagrody. Nim powrócisz do pracy, zjesz dobry obiad. Widzę, że na stole stoi kawałek chleba i dwa tłuście kurczaki, dopiero co zdjęte z ognia. Od samego ich widoku kręci mi się w głowie...

— To wszystko dla ciebie — mówi lekarz. Nie rzucaj się od razu na jedzenie. Masz go dzinę do dyspozycji. Musisz zjeść wszystko, do ostatniej okruszynki. Ja wychodzę.

Lamber został sam. Chwył chleb i od razu zrozumił: Je śli zje to wszystko od razu — umrze. Należało więc jeść mo żliwie wolno i małymi porcjami. Lekarz powiedział, że daje mi godzinę czasu...

Zjadłem dwa udka, trzeciego już nie mogłem, ale przecież musiałem. Dostałem chyba skurczu żołądka. Zaczęłem jeść jeszcze wolniej. Nie było ani noża, ani widelca. Co robić z chlebem? Z kurczakami dam sobie radę, ale chleb mnie wykończy. W pokoju była umywalka. Wylot odpro wadzający wodę nie był zasłonięty siatką, więc zacząłem kruszyć chleb, moczyć go, wpy chać do rury i spłukiwać wodą. Chleba było chyba ponad kilogram. Gdy wrócił lekarz na stole leżały już tylko ogryzione kości kurczaków.

— Ależ apetyt! — zaśmiał się lekarz. — A teraz dokładnie cię zbadamy.

Lambra oddano w ręce dwóch felczarów, którzy kilkakrotnie pobierali mu krew do badania, mierzyli temperaturę ciała, ciśnienie, osłuchali serce... Nazajutrz skierowano go do pracy. Nie ulega wątpliwości iż nieznanemu lekarz prowadził badania w zakresie odżywiania.

— Chodziło tu o koncentraty żywnościowe — zeznał w Norymberdze jeden z obwinionych zbrodniarzy hitlerowskich — które trzeba było zrzucić z samolotów naszym wojskom, obłożonym w różnych rejonach Rosji. — Musieliśmy ustalić ilość tłuścuzu i białka w racji żywnościowej, aby żołnierz mógł dobrze wypełniać swoje zadania...

zarobi za ich wykaligrafowanie. Czasem przywodzą na myśl sławetne galicyjskie padanie do nóżek, przesadzają w grzeszności, żenują, ale przeważnie rozporządzają choć trochę ogólną atmosferą wzajemnej niezyczliwości wszystkich kontra wszystkim.

Kradzieże oczywiście zdarzają się nadal. Nie wiem co mówią statystyki, ale z tego co słyszę po prostu w kregu znajomych wydaje się, że te najbardziej prymitywne, kieszonkowe, torebkowe — zdarzają się ostatnio częściej. Kilkakrotnie już słyszałem o dziecinie — dziesięcioletnim chłopcu, schludnie ubranym, umytym, uczesany, który z ogromną uwagą otwiera paniom torebki w tramwajach i w sklepach, a zauważony ucieka, wyskakuje w pełnym biegu, ginie w tłumie przechodniów. Wiele osób zapamiętało go, spotyka, pozna je — cóż z tego? Chłopczyzna pracuje nadal, zarabia pewnie nieźle, doskonali swój fach i podnosi sprawność nóg. Nikt mu nic nie robi.

Słyszałem też o babinie wiejskiej, która narobiła wielkiego gwałtu w „Uniwersium”, że włós nie ją okradli, że ma ją zabić jak się dowie, że w ogóle za co ona wróci do domu. Litościwi ludziska już sięgali do kieszeni, organizowali składkę, gdy pewien pan powiedział głośno, że tę samą babinę parę dni temu widział w iden tycznej roli w domu obuwia. Rola była dobrze pomyślana i dobrze zagrana. Amatorski zespół sceniczny miałby z babiny polecieć, i może bę-

dzie miał, bo poszła sobie spokojnie a szybko dalej, otarłszy obficie łzy. Nikt jej nic nie robi.

Zdolni chłopcy w rodzaju opisowego dziesięciolatka mają tym bardziej ułatwione zadanie, że damskich torebek wcale nie muszą otwierać. Otwierają je same. Wszystkie te bluszczące z daleka galki, rączki, uszka i uchwyty przy bliższym zetknięciu okazują się prymitywne, cienitką blaszką, sprężynki wystarczają akurat na trzy próbne otwarcia przy kupnie torebki, zaczepy w ogóle się nie zaczepiają. Może więc na czasie byłoby tabliczki w publicznych miejscach: „Nie gubcie pieniędzy i dokumentów. Sprawdzcie torebki!”.

Ostrożność nigdy nie zawadzi. Uważajcie na chłopców i na babiny, na zamki torebek i na gościnnie rozchylone kieszenie. Ostrożność też jednak powinna być rozsądna. Pewien pan przy mnie zgubił w tym roku kilkadziesiąt tysięcy złotych podczas przejażdżki motorówką po jeziorze. Bał się zostawić pieniądze w domku campingowym i włożył je... do kieszeni szortów. Nie wiem, po co aż tyle brał ze sobą na urlop. Kosztowny był ten urlop, aż nam wszystkim było przykro. Skoro już mądrzy ludzie wymyślili PKO, korzystajmy z tej instytucji. Brawurowość niektórych wyczynów cwaniactkich i gangsterskich czasem nawet lubimy podziwiać, ale przecież nie wtedy, kiedy dotyczy naszych własnych kieszeni. Nie dawajmy okazji do takich popisów.

ĆWIEK



Lewym
okiem

MAŻ MNIE ZABIJE

Kopaliński, felietonista „Życia Warszawy” nazwał niedawno kościół Wzrytek na Krakowskim Przedmieściu najpiękniejszym kościołem stolicy. Po dzielam tę opinię w zupełności. W tym najpiękniejszym kościele, tuż przy wejściu, nad chrzcielnicą, wisiała przed wojną tabliczka z dobitnym napisem: „Wystrzegaj się złodzieiów”. Widocznie świętość tego miejsca nie stanowiła przeszkody dla kieszonkowców, którzy i tu wykonywali swój zawód. Z drugiej strony zaś gospodarze nie wstydzi li się uznać kradzieży za możliwą, ostrzegali swych gości, budzili czujność.

Pewnie, że tabliczki tego rodzaju, obojętne gdzie, nie nasuwają wesołych refleksji. Przyjemniej jest czytać w sklepie cukierkowane haselka w rodzaju „Klient- ma zawsze rację”, „Witamy miłych klientów”, „Życzymy pomyślnych zakupów”. Haselka niewiele kosztują, tyle co plastyk